

172.153 2

ANDRZEJ CHCIUK

SMUTNY UŚMIECH

(OPOWIADANIA)

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1957

ANDRZEJ CHCIUK

SMUTNY

SMUTNY UŚMIECH

(OPOWIADANIA)

INSTYTUT WYDAWNICZY

Wydawnictwo Literackie, Kraków, ul. Szpitalna 10, 31-004
1977

BIBLIOTEKA „KULTURY”

Tom XVII

IMPRIME EN FRANCE

Wydawca : Edition et Librairie « LIBELLA »,
12, rue Saint-Louis-en-l'Île, Paris (4^e).

ANDRZEJ CHCIUK

SMUTNY UŚMIECH

(OPOWIADANIA)

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1957

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001005819125

**NAGRODA LITERACKA „KULTURY”
ZA ROK 1955**



Wszystkie prawa przedruku zastrzeżone.
Copyright by „Kultura”, 1957.

1957 W 242/6

SMUTNY UŚMIECH

Stefanowi Thermersonowi

Będzie to pamiętnik, w stopniu większym niż inne, fikcyjny. Ale czasem fikcja najlepiej wyraża prawdę. Dlatego też wypada się zastrzec, że wszelkie ewentualne podobieństwo prawdziwego życia (ludzi, sytuacji i nazwisk) do mego pamiętnika jest, czy będzie sprawą przypadku. I jeszcze jednym dowodem, że życie wyprzedza. Kogo i co wyprzedza? — spytałby pan Jacek Lis, ironicznie jak zawsze. Uśmiecham się: stwarzając postać Ziarnickiego muszę myśleć i działać tak, jak by on myślał i działał. Muszę go wewnętrznie przeżyć.

Sobota

Nie ma nic straszniejszego,
jak czynna ignorancja.
(Goethe)

Wieczorem Mrs. Clarke przywołała mnie do telefonu. Czytałem właśnie, owinięty w koc i w dym papierosa, koc odrzuciłem, papierosa nie i zbiegłem na dół. Podnosząc słuchawkę i patrząc w szarą tapetę ściany powiedziałem:

— Hallo? Tu Śpiewak.

— Mówi Ziarnicki. Zed-aj-ej-ar-en-aj-si-kaj-aj. Ziarnicki. Dobry wieczór panu! I uszanowanie. Jakżeż się cieszę iż pan bawi ponownie w Melbourne. Jacek Lis, mój kuzyn, właśnie podał mi pański adres. I telefon, więc...

Chwila ciszy. Odpowiedziałem powitaniem, po drugiej stronie odbyło się szerokie i za głośne zaczerpnięcie powietrza do płuc.

— Panie Śpiewak! My wszyscy czekamy na pana, wszystkie oczy są zwrócone na pana! Sprawa jest tego rodzaju (efektowna cisza) grono ludzi (cisza zwykła) grono ludzi dobrej woli, ożywionych głęboką troską (przerwa bardziej uroczysta) postanowiło, aczkolwiek przeszkody są rozliczne (cisza znacząca) powołać do życia (tu głos brzmiał jak trąbka na pobudkę) Klub Inteligencji, artystyczny, bohema, brydż, kulturalny. I dobre formy.

Cisza. Czuje się kropkę w tekście, dużą kropkę.

— Pan Lis mówił mi o tym, byłoby mi naprawdę miło...

— Więc dobrze? Panie Śpiewak, zaszczyci pan nas swą obecnością? Szalenie to miło z pańskiej strony...

Dalej w rozmowie były zwroty i okresy wielce ozdobne, kwadrans frazesów miłym głosem, głos ma naprawdę miły ten Ziarnicki, komplementy pod moim adresem, każdy takie lubi, choćby im nie wierzył, w każdym razie musiałem od czasu do czasu wtrącać coś w rodzaju: „pan jest zbyt uprzejmy”, a raz, pamiętam, powiedziałem tylko:

— Ooooo...

Podał mi swój adres, telefon, przysięgałbym, że kłania się do słuchawki. Zebranie miało się odbyć nazajutrz. Ziarnickiego nie znałem, słyszałem tylko o nim wiele. Widziałem go raz na jakiejś akademii, gdzie mój Jacek wraz z innymi dziećmi z Essendon tańczył kujawiaka i śpiewał później: Maryno, Maryno, gotuj pierogi...

Ziarnicki recytował, nie pamiętam już co. Mówił dobrze, zdziwiłem się tylko jego małym wzrostem, wydawało mi się, że on powinien być wyższy. Głos mu drżał efektownie, rozpinał się na dźwiękach. Ziarnicki był w sportowym garniturze, w butach na grubej podeszwie z krepy. Chodził po scenie poważnie i wolno, na tych grubych i cichych podeszwach, widać było skarpetki w żółte i zielone prążki. Gdy skończył, złożył ręce na krzyż, a głowę zwiesił na piersi. Zabrzmiały brawa. Oklaski przywołały go do życia, skłonił się ponuro. Była to pierwsza akademii, na jakiej byłem, od czasu, kiedy sam zajmowałem się organizowaniem akademii i wieczorków w świetlicy Y.M.C.A.; mam więc wstręt do wszelkich obchodów. Bardzo źle jest próbować różnych zawodów i działać na różnych polach. Zostają tylko urazy i wstręci. Nie chodzę do restauracji od czasu, gdy, pracując półtora roku jako szef-kucharz, poznałem brudy pewnej greckiej restauracji na St. Kilda. Byłem tam tylko dziewięć dni, dostawałem torsji. Kiedyś we Francji byłem robotnikiem w fabryce lemoniady: nie pijam już lemoniad. Jasio pracował w fabryce konserw w Footscray: konserwowego mięsa nie weźmie do ust; nawet gdy jest głodny.

— Widziałem, jak to się robi — krzywi się. — Nie.

Ziarnicki ma żonę Angielkę. Uczy się ona po polsku, lubi Polaków, zachwyca się — podobno — kulturą polską. Urządzali u siebie zebrania Związku Młodych.

Zawsze była tam jakaś dyskusja, odczyt — opowiadał mi raz Franek, gdy przyjechałem z Omeo, z hotelu „Golden Age”, ażeby odwiedzić dzieci — a potem fajna wyzerka. Kanapki, ciastka, coś ciepłego, owoce, herbata, a na-

wet papierosy leżały w kasce. Mogłeś brać skolko ugodno — kiwał przytwardzająco i z uznaniem głową Franek. — I to mocne papierosy. Było miło.

Zebrań takie stały się zwyczajem. Nikogo z chłopców już nie dziwiło, dlaczego Ziarniccy mają ich gościć u siebie co dwa tygodnie. Przychodzili. Nazywano te wieczory „akademickimi”. Poza Wieśkiem i Staszkiem nikt z młodych nie był nigdy akademikiem, wszyscy to młodzieńcy, którym wojna przeszkodziła w pierwszych klasach szkoły powszechnej. Potem były Niemcy, praca, obozy dyspens, handel papierosami, wódka, dziewczyny, emigracja. W Związku Młodych jest dużo chłopców, kilka też dziewcząt: dziewczyny jakoś pokończyły szkoły, kursy kroju, czy pisanie na maszynie, dwie nawet podają, iż mają maturę. Dziewczętom poprzewracało się w głowie, jest ich mniej, walka o kobietę i tu nabrała emigranckiej ostrości. Trzech młodzieńców ma własne samochody, zezowaty Bolcio jeździ wozem Shella, gdzie jest szoferem. Prezes Związku Młodych, Franio, miał już dobrze zaczętą łysinę, a Staszek szpakowate skronie. Franio wyjechał do Canberry, Staszek na Tasmanię, koło młodych odsunęło się od Ziarnickich. (Skąd te pieniądze na przyjęcia dla niewinnej młodzieży? — pytał z ambony O. Roman. — Kupuje się młodzież za kanapki. Masoni.) Franek wyjechał, pracuje w Instytucie Geologicznym, ożenił się, pisał mi, iż chce nostryfikować swój dyplom w Adelaide.

Związek Młodych dostał się pod skrzydła O. Romana i Domu Solidacyjnego, a raczej do jednego skrzydła tego domu. Masonskie przyjęcia się skończyły, niemoralny satyr (Franio niby!) usunął się sprzed oczu. W kazaniach nie potracano już o Związek Młodych.

Pan Jacek Lis mówił mi kiedyś o projekcie zorganizowania klubu, pytał kurtuazyjnie, czy zgadzam się, by podał Poldkowi (Ziarnickiemu) mój adres. Powstawał tu na wzór Sydney klub „Widnokreśli”. Było już jedno zebranie klubu, teraz będzie drugie, z odczytem o Chopinie.

— Jakaś pani wygłosi, nie pamiętam nazwiska — nachylał się do mnie. Siedzieliśmy przy letter machine Nr 3 i sortowaliśmy listy. Pracuję teraz na poczcie. Kucharstwo rzuciłem, szkodziło mi na zdrowie, praca była ciężka, w nocy budziłem się od zapachu cebuli. Śmierdziały nią moje własne ręce. Na poczcie też poznałem Lisa. Znałem go w Paryżu, nie byłem pewny czy to on, gdy go zoba-



czyłem raz w przerwie na herbatę. Znajomość nasza była raczej luźna, przez wspólnych innych znajomych, jego żona pisała bajki z mym kolegą Bronkiem Kamińskim. Pan Jacek to miły i kulturalny pan, ma poczucie humoru i ujmującą skromność, cechy to dziś rzadkie.

Przypomniałem się mu kilka dni temu. On kończył przeszkolenie pocztowe, ja je zaczynałem. Chodzi o opanowanie pamięciowe trzech tysięcy nazw z samej Wiktorii. A nazwy są piękne i dźwięczne: Tangambalanga, Boonah-moonah, Yarrowonga, Paraparap, Yackandandah, Watchupga, Koroit, Mysia, Pizgah, Pimpinio, Birregurra, Koo-Wee-Rup, Yalla-y-Poora, Mooroopna, Hinnomunjie itd. Trzy i pół tysiąca takich i innych nazw, „aboriginals” i angielskich, trzeba wiedzieć na jakim szlaku pocztowym leżą. Jest też jedna (w pasie SE 8) dziwna: Strzelecki. Instruktor nachylił się wówczas nade mną:

— No, jakoś sobie na ogół dajesz radę z tymi nazwami, ale tu muszę ci pomóc, żebyś miał prawidłową *pronunciation*: Stre-zle-ki.. Powtórz!

— Czy to też *aboriginal name*? — spytałem.

— *I'm not quite sure, anyway* nie wiem co to znaczy. *Ridiculous, co?*

— *Yes, very ridiculous.*

Nasze rozmowy z Lisem obracały się więc koło poczty, Francji, znajomych, o Ziarnickim zaczęliśmy rozmawiać dopiero po drugim zebraniu. Mają się te zebrania klubu odbywać co trzy tygodnie. Siedzieliśmy nad maszyną i wrzucaliśmy listy w odpowiednie przegródki, pod pokrywą stale biegnący pas niósł kanalikami listy do koszyków, stojących u końca maszyny. Bardzo przyjemnie rozmawia się nad taką maszyną. Lubię tę pracę na pocztę: są wprawdzie często nocne szychty, inne są bardzo dziwne: nad ranem, po południu, płaca nienadzwyczajna, za to praca w cieple, ważne ze względu na straszliwą wilgoć w powietrzu i mój reumatyzm, praca nie męczy, najwyżej trochę nuży. Jednak ciągle werbują tu nowych ludzi i szkołą, gdyż nocne szychty, słabe wynagrodzenie, i monotonia wrzucania listów w różne przegródki działają mail officerom na nerwy: uciekają więc stąd.

Opowiadałem coś o Jacku i Hance. Że są w Zakładzie Sióstr Zmartwychwstanek w Essendon. Lis przebywa od niedawna w Melbourne, nie bardzo więc jest zorientowany, o co chodzi. Z satysfakcją opowiadałem o Domu Dziecka:

świetna opieka, czyściutko, wygodne i gustowne nowoczesne urządzenia, smaczne jedzenie, dzieci zadowolone i w domu na week-end nie przestają mówić o siostrach i innych dzieciach. Siostry przyjechały ze Stanów Zjednoczonych, mówią po polsku dobrze. Dom Dziecka to opatrność Boska dla wielu dzieci z rozbitych małżeństw. Trzeba przyznać ojcu Romanowi, że na przekór trudnościom i pesymistom, wziął się do pracy z uporem i zapałem, kazaniami wyduszał łzy z oczu, a funty z kieszeni, kołatał wszędzie i oto dom jest z niczego prawie.

— Podobno bardzo dużo jest tu takich właśnie rozbitych małżeństw. Czy kobietom poprzewracało się w głowie? — pyta Lis, oglądając pilnie jakiś pokreślony adnotacjami i zasmarowany pieczętkami list — Gdzie jest Bacchus Marsh?

— Zdaje się SW 6, koło Ballarat.

Milczymy. Czasem przepytujemy się z różnych nazw, nasza pamięć zawodzi. Ratuje nas zwykle Kutnowski, kibic Pogoni, o ile właśnie przejeżdża z wózkiem świeżo stemplowanych listów. W powietrzu zaduch, niebieska mgielka dymu papierosowego, maszyny stemplujące strzelają jak rozpylacze.

— A państwo rozeszliście się już dawno temu? Znałem pana jeszcze kawalerem, co?

Lis z banku PKO wyjechał na wice-dyrektora, a potem dyrektora filii PKO w Haifie. Był tam pięć lat. Kiedy go odwołano do Polski wołał zostać, zerwał z Warszawą. Przyjechali tu. Pracował w fabryce samochodów Holden, wkręcał lampki w sufity limuzyn. Podczas okupacji we Francji byli oboje w londyńskim ruchu oporu. Ją Gestapo torturowało potwornie, jeszcze dziś lektura orzeczeń i protokółów lekarskich jest zupełnie przygnębiająca. Cud, że pani Maryla w ogóle żyje, że chodzi i rusza rękami i nogami. Przed wojną Lis był działaczem TUR'u, członkiem ZNMS ze Lwowa. Mamy trochę wspólnych znajomych, wiele też miejscowości i szlaków górskich z Gorgan i Czarnohory stanowi dla niego i dla mnie o uroku młodszych lat.

Odpowiadam panu Jackowi:

— Już wkrótce będzie dwa i pół roku jak żona odeszła. Dzieci teraz są w Essendon. Na początku były u obcych, chodziły brudne i głodne, bito je. W Essendon były w pierwszej dziesiątce małych pensjonariuszy, pierwsze

imieniny, jakie siostry urządzały tam dzieciom, przypadły właśnie Hani. Jeszcze nie miała dwu lat. Siedziała na przydzielanym fotelu, w nowej różowej sukience i starała się zdmuchnąć dwie świece.

Jestem gotów się rozmarzyć. Cholera, żal serce ściska. Bardzo jej wtedy było ładnie w nowej sukience, uszytej przez Basię. Siostry porozwieszały lampiony i girlandy, wszystkie dzieci miały na głowie kolorowe czapeczki, Hania zaś koronę; śpiewały jej nieskładnie i z przejęciem: *Happy birthday to you, happy birthday to Hania*, a mała usiłowała sama krajać tort. Myślę też o tym, jak tygodniami i miesiącami gniotło mnie milczenie i samotność w Omeo, a później w Queenscliff. Wychodziłem do kuchni, mówiłem *good morning*, na zwykłe, rytualne uwagi Maxa, czy Jimmy'ego, że zimno lub deszcz, albo, że zanosi się na upał, nie odpowiadałem nic. Przyzwyczajali się, widzieli, iż nie miałem ochoty na rozmowę. W upartym milczeniu smażyłem befsztyki i jaja na śniadanie, zapiekałem w piecu *bacon*. W Omeo Mrs. James ustalała ze mną menu, trzeba było parę słów wydusić ze siebie, w Queenscliff miałem wolną rękę, robiłem, co chciałem. Max i Jimmy tylko patrzyli, czy nie trzeba mi w czymś pomóc, śledzili mnie wzrokiem, czasem uśmiechali się, a ja ich częstowałem Lexingtonem.

— Ale mocne — stękali, zaciągawszy się pierwszym dymem — jak ty Andy możesz palić takie? Pewnie podobne do francuskich?

Czasem im odpowiadałem:

— Tak, podobne.

W Omeo miałem dnie, iż paliłem ponad sto Lexingtonów, nie spałem, zwitek nerwów, żarł mnie żal i złość na siebie i na Barbarę, język miałem biały i skołowaciały, gotowałem na oko, nie kosztując. Traciłem refleksy, opierałem się na rozpalonej blasze, by odpocząć, byłem tak roz-targniony, że widelec wrzuciłem raz do pieca, a polanem mieszałem *braised chops*. Jaja rozbijałem tak: łupki do mixer'a, żółtka i białka do śmieci. Potem jakoś powoli stawałem się spokojniejszy, zamieniałem do dziesięciu słów dziennie, nawet z Jockiem, mężem kelnerki Rity grałem w ping-ponga, z nią zaś dwa razy tańczyłem. Koszmarny okres: życie przez cały dzień dla chwili, kiedy wieczorem Mr. James przynosił pocztę, listu od Basi nie było. Po-tem wracałem do swego pokoju, nastawiałem radio i nie

rozebrany leżałem na łóżku, ćmiąc papierosy do świtu, kiedy to czarne ptaki rozpoczynały swe metaliczne, niby dźwięki cymbałów, pobudki. Koszmarny okres. Marek Aureliusz powiedział kiedyś: „Właściwie chodzi o to, by wiedzieć — oszalejemy, czy też nie”. Zapamiętałem to zdanie z jakiegoś artykułu. Tak, byłem wówczas dziennikarzem, adiustowałem artykuły w drukarni u Czapnika na Ménilmontant. Byłem wtedy całą redakcją i administracją, sam kleiłem opaski i adresy, a na pocztę nosiłem gotowe do wysyłki worki pism. Byłem wówczas kawalerem. Takim znał mnie Lis. Co mu odpowiedzieć, myślę z niechęcią. Nie pyta z ciekawości tylko, jego siwe włosy i blade oczy są smutne i pełne wiedzy o parszywym życiu. Co mu odpowiedzieć?

Będzie się dziwił, gdy się przyznam, iż kocham ją dalej. Że widzimy się często przy dzieciach? Że jesteśmy już spokojni i opanowani, wiemy już co to dno straszliwych żalów, oskarżeń, wyrzutów i krzywdy? Że to wszystko dziwne, idiotyczne, bolesne, tragiczne, beznadziejne i kretyńskie, urazy i kompleksy, czwarty wymiar? I znowu policzkiem i upodleniem będzie dla mnie jego wzrok, jak kilku innych, pytających o to, gdzie niewiara w me słowa nasiąkać będzie litościwym współczuciem: łudziś się, bracie, ośmieszasz, to nie po męsku. Często miałem i mam do Basi żal, że nie odeszła tak jak inne, że nie znalazła sobie kogoś. Wtedy odpowiadałbym prosto, najprościej w świecie: uhm, ma innego.

Lis się uśmiecha. Nie dopytuje się. A ja znowu myślę o tygodniach i miesiącach śmiertelnej ciszy i samotności w Omeo. W Queenscliff (SW 1 — wykrzywia się do mnie ironicznie przypomnienie wiedzy pocztowej) był Tadzio. Tadzio, Polak z Zaolzia, inżynier mechanik, pracował w obozie wojskowym, żwirem wysypywał alejki parku i ścinał trawę. Ożenił się z jedną z córek Mrs. Fonti, która prowadziła Grand Hotel w tej nadmorskiej miejscowości. Czasem grywaliśmy w szachy. (Szachy to najlepsza higiena myśli — twierdził w Voiron Themerson). Tadzio był w Brygadzie Świętokrzyskiej, a mnie raz NSZetowcy o mały włos nie rąbnęli. Graliśmy w szachy, chodziliśmy na *soft drinks* (jak on mówił: „rzadkie drinki”), ja mu na obiad odpalałem trzy razy większego kotleta, jego żona była tym zachwycona, bo on chudzielec. A teraz

jestem na pocztce, niekiedy piszę do niego, sam przynoszę list tu do hali Inland Section. Po co wrzucać do skrzynki?

Nagle Lis się śmieje:

— Zna pan Drymmera? Wie pan co on mówi o Ziarnickim?

— Drymmera? Tego z MSZ?

— Nie, to nie ten przedwojenny. To facet ze Lwowa, były konsul generalny warszawski w Ameryce, tu ściągnął go kuzyn, obaj tego żałują, pracuje jako krojczy w *Le Chic Parisien*.

— Aha, nie znam. Ze Lwowa?

— Tak. On widział Poldka dwa razy i już ukuł o nim powiedzenie: on nigdy nie mówi a zawsze przemawia.

Uśmiechnąłem się, byłem daleko od Ziarnickiego. Ziarnicki? Klub? Bardzo jestem aspołecznie nastawiony.

Niedziela

„.... Wie pan co, a mnie czasami
rosną, panie, rude włoski,
w ogóle taniec na wulkanie.
Trzetrzewiński. Krupczalowski...”

(K.I. Gałczyński — z poematu: „*Kolczyki Izoldy*, pieśń w Oberży i z oberży „Pod ogniem, wodą, i miedzianymi trąbami”).

Ziarniccy mieszkają nad plażą St. Kilda, koło Luna Parku. Szukałem właśnie numeru, gdy z przeciwnej strony nadchodziła pani Klementyna. Oboje przyjemnie zdziwiłiśmy się, że drugie też na zebranie, będzie nam rażniej.

W korytarzu olbrzymiego domu z gankami czekał czarno ubrany Ziarnicki, z papierosem w ręce. Czekał na gości. Na widok pani Klementyny odrzucił papierosa i posuwistym krokiem ruszył ku nam. Przeginał się, tańczył, zalewał nas swym uśmiechem jak reflektor światłem.

— Ach, jak się cieszę. Niewymowną radość sprawiła mi pani. I pan również — strzelił spojrzeniem w bok, ku mnie. — Czekamy, właśnie, czekamy, co za punktualność. Zaraz poznać. Punktualność to uprzejmość królów, w ogóle arystokracji, nieprawdaż, panie Andrzeju?

W tym „nieprawdaż, panie Andrzeju” było podkreślenie, iż wie, że pani Klementyna jest hrabianką z domu, że ja nie jestem z wysokiego rodu, a o nim samym to jeszcze

nie wiadomo nam, wszystkiego należałoby oczekiwać. Ale Ziarnicki już całował rękę pani Klementyny, ująwszy jej dłoń w obie ręce, całował dwukrotnie, z uszanowaniem, niemal z zachwytem.

Podał i mnie rękę i szeptem przyznał się:

— Moi ministrowie zawsze mówili, ach ten Ziarnisio, to czaruś...

Wprowadził nas z korytarza do dużego salonu. Jeszcze w drzwiach stojąc zobaczyłem parę osób, czerwone fale kotar spływających od sufitu do podłogi poprzez okna, meble były takie, że mogły uchodzić za Chippendale, gablotki, drobiażdżki, mogące uchodzić za gustowne, albo będące takimi. W drugiej części salonu stały stalowe, nowoczesne, gięte krzesła, również z czerwonymi siedzeniami i oparciami, panowie stali z papierosami, panie w narzuconych futrach, rozmawiano. W kominku, w paleniku stały kwiaty, pachniało tu damami, kwiatami i Airwick. Zajęty obserwacją sali, nie dosłyszałem prezentacji pani Klementyny. Za to teraz Ziarnicki chrząknął i donośnym głosem przedstawił mnie:

— Pan Andrzej Śpiewak — chwila ciszy — poeta.

— Przy słowie „poeta” głos mu się załamał od wewnętrznego napięcia. Ktoś komuś się kłaniał, ja też, ja pierwszy. Za chwilę dzwonek wywołał Ziarnickiego ponownie na korytarz. Weszli Lisowie, miałem z kim rozmawiać. Potworzyły się grupki, rozmawiano ścisłymi głosami, wchodzili nowi. W sąsiedniej grupce jakiś wysoki blondyn opowiadał coś o Tasmanii. Jak ze zwykłej konstatacji, że na dworze chłodno, doszło do jabłek, Małcużyńskiego, a stamtąd do Tasmanii, Strzeleckiego, brydża i operacji pewnej starszej pani, siedzącej na kanapce — trudno dociec. Blondyn jednak upierał się przy Tasmanii, dowiedziałem się nazw kilku miast, zatok, gór i nazwisk kilku Polaków ze Związku Karpatczyków na Tasmanii. Janusz Tężyłowicz, wysoki i godny pan ze szpakowatymi skroniami, gładko wygolony, był major z NSZ i Powstania, obecnie robotnik na nocnej szychcie na planicie szlifierek u Holdena, dobrze ułożony, w dobrze po europejsku skrojonym garniturze, podszedł do mnie od tyłu i ogarnął serdecznym ruchem.

— Kopę lat, panie Andrzeju. Nie wiedzieliśmy w ogóle gdzie pana szukać, tak nam pan znikł z Melbourne.

Widziałem go przedtem dwa razy.

Ktoś znowu wszedł, a musiał być znany i znaczny, gdyż większość obecnych przerwała rozmowę i zwróciła uprzejme twarze ku drzwiom. Nie zamilkł tylko gruby, łysy pan o karku tura, głos jego wypłynął na wierzch cizy:

— A ona mi mówi: niedźwiedź? To ja jej mówię: niedźwiedź. I co? Stał w drzwiach? Bo trzeba państwu wiedzieć, że niedźwiedź w snach, to śmierć. Tak twierdziła stara Gryczanowska. I trzy razy się sprawdziło. Prawda Pelu? — szukał świadectwa żony.

— Tak — kiwnęła głową. — Trzy razy.

— Więc widzicie państwo. No, to ona dalej: stał w drzwiach? (A tymczasem okazało się, że to nie przybył nikt znany i znaczny, tylko młode małżeństwo: on, zwykły, schludny blondynek, za to ona najwyraźniejsza piękność. Stała zażenowana, owiana wiatrem i spłoniona wstydem pod tyloma spojrzzeniami. Była w popielatej sukni. Lecz mnie — idiocie — znowu przypomniało to Basię i jej suknię z popielatego materiału, kupionego przez nas na rue Violet koło rue Fondary. Gruby pan dalej ciągnął, choć gdzieniegdzie znowu zawiązały się rozmowy). A, stał — mówi stara Gryczanowska. — To źle. Ale jak stał? To ja jej mówię: na jednej nodze. Na to ona krzyczy: na jednej nodze? I co? I nic. Odwrócił się i powiedział: won Żydy.

Parę osób drgnęło, kilka ruchów kilku głów, lecz grubas dalej mówił, a słuchało go z zaciekawieniem coraz większe grono. Nawet starsza pani z kanapki.

— Dałem jej pięć złotych. Ale się nie sprawdziło. Po raz pierwszy, prawda Pelu?

— Nie, zdaje się drugi.

— Ależ, Pelu — z wyrzutem w głosie pan nagle ją dojrzał — co ty mówisz kocik?

— Dwa razy się nie sprawdziło.

Pan był zawiedziony, wzruszył ramionami pogardliwie, odwrócił się od małżonki, widać było, że wzburzył go ten incydent.

No, to ja jej mówię: ach, ty draniu — tu ujął za guzik Tężyłowicza — to ty idziesz bidnego człowieka halikać? Ty swołocz, ty złodzieju.

Major odsunął głowę trochę w tył z wytwornym zdziwieniem, parę osób spojrzało na majora. Teraz gruby pan prawie krzyczał, a pani Pela skrzywiła się:

— Doluś, proszę cię, Doluś.

Doluś sapnął i puścił guzik. Szmary i spojrzenia, oraz ciche syknięcia wskazywały na Ziarnickiego. Staął obok stolika, a w ręce, na pogotowiu, trzymał okulary. Jego nieruchoma postawa sprawiła, iż nastąpiła cisza, a panowie, schyleni i jakby skarceni tą ciszą, chyłkiem zajmowali miejsca. Usiadłem koło Lisa, za panią Klementyną. Koło niej usiadł Laskowski — jak się dowiedziałem — tak nazywał się blondyn rozprawiający o Tasmanii.

Wtorek

Proroctwo Jana z Czasomierza
(fragment)

*Kiedy już dość anemii było
oraz megalomanii ponurych,
tudzież gładzenia nie wiadomo komu,
jak również bzdur upartych,
deszcz zaczął padać rzęsy
wystawcie sobie, z góry.*

(K.I. Gałczyński)

Nie mogłem wczoraj pisać. Wpadł do mnie Jasio z Luizą. Jasio był mocno podchmielony.

— No i co z tym kołem? Same Żydy? Co?

Uśmiechnąłem się.

— Mnie to nie przeszkadza. Parę osób wygląda zupełnie do rzeczy — mówiłem ostrożnie.

Luiza słuchała z natężeniem, rozumiała niewiele. Czasem, gdy przypominaliśmy sobie, że ona istnieje, przechodziliśmy na angielski. Ona wtedy uśmiechała się z wdzięcznością. W niedzielę, w nocy jeszcze, poszedłem do nich, wypiliśmy trochę. Nagle zrobiło mi się smutno, z niechęcią myślałem o sobie, o życiu. Wysoka, ugwieżdżona noc, sowiooka noc, głupi księżyc goni przez chmurki i chandrę, cholera, człowiek pije tu deszczową wodę, bo innej nie ma, a ta z rzeki mdła, czcza, bez soli, w lesie u Szymczaka mieliśmy czajnik na herbatę, dwa lata Klemens w nim gotował wodę i ani smugi osadu, ani ziarna osadu, kamienia: deszczówka. Te okna, jak w pociągu, połówki podnoszone do góry i spuszczone na dół, jak w pociągu, te ściany z dykty, domy z desek, pisuarów na ulicy nie ma, chleb biały jak wata, kafejek nie ma, piwo wolno pić do szóstej w Wiktorii, w niedzielę pub'y zamknięte, wieczorem po upalnym dniu, kiedy chce się pić.

nie ma gdzie wyjść, ażeby się i spokojnie, filozoficznie sęczyć „browar”. Cholera, cholera, zarobisz tu — krzyczał Hieronim — ale ten spokój do szalu mnie doprowadza. Jak tu żyjesz? Jakie tęsknoty człęk ma? W konie nie gram, na tym ich futbolu się nie znam, w gazetach nie ma co czytać, żeby nie piwo, zdechłbym — mruczał Jasio. A tak zdechnę przez to piwo, zdaje się — łypnął do mnie zdrowym okiem. Trzeba uciekać, naparzać, do Europy, albo do buszu, do ogniska. Andrzej, uciekajmy. Tyle, że czytam. Ale ile można czytać? Siedem, dziesięć książek na tydzień? I co? Uciekajmy.

— On ma dzieci — szepce Luiza. Boi się, by Jasio nie wyjechał. Rozumie to, choć po polsku.

A ja sobie myślę z niechęcią o wszystkim. Uśmiecham się tylko na wspomnienia Jacka i Hanki. Durny, ty, durny, inni jeszcze mniej mają. Do życia mam podejsście zupełnie negatywne. Życie? Czyrak na siedzeniu. Trzeba znieść. Niczego nie wymagam, nie marzę o niczym, jest mi źle, ale cóż z tego? Nie narzekam. Nic mi się nie należy. Ech, durny ty, durny. Żyję w innym świecie, trzeba coś robić, by żyć, by jeść, by iść do kina raz na miesiąc, czasem częściej, czasem rzadziej, próbuję pisać, czytam. Przeniosę się ze St. Kildy. Za blisko do znajomych. Plotki, plotki. A ludzie żyją sobie inaczej, żyją i bawią się: radość życia. Trzeba tak. Carrel też to mówił i tylu znajomych, nawet prosty Hieronim. Żyją. A moja radość życia w tym właśnie, że mogę się obejść bez radości życia. Basia? Ech, durny ty, durny. W życiu trzeba było być innym. Życie to gra, życie to walka, nawet o uczucia. A może przede wszystkim o uczucia. A ja nie, a ja nie. No i co? Będę leżał, przegram? No to przegram. Nie ma tylko jednych, jedynych przyczyn niczego. A prawd jest wiele. Matka daleko, Matusia. Pięcioro nas miała, pięcioro i ma. Uchowaliśmy się przez wojnę, Rosję, Niemcy, Anglię, Szkocję, całą Europę, Amerykę, Australię, przez szpitale, niewolę, Kazachstan, czajchan, résistance, spadochroniarzy, Gestapo i tęsknotę. Teraz pięcioro nas w świecie, jak rozmięcione wiatrem liście.

Każdy gdzie indziej. I jest tu nas dwóch w Australii. Antek od siedmiu lat, ja od dwóch i pół. I nie widzieliśmy się jeszcze. Od trzynastu lat, psiakrew. Ostatni raz we Francji, na wigilię: otworzyliśmy pudełko sardynek, był armagnac w Tuluzie, od wąsatej sklepniczarki Cin-

quante na ulicy Dumeril. Był z nami Jasio ze Stanisławowa, jasny, świeży chłopak. Zapomniałem nazwiska. Potem Antek wyjechał do Marsylii, udało mu się dostać do Anglii. Mnie nie udało się, dwa razy przedtem i cztery potem. Fatum. Czemu nie szedłem z nim? Byłem „pechowy”? A może to i lepiej? Matusia pisze z wyrzutem: Czy oziębły u was uczucia rodzinne? Czy się gniewacie? Czy coś kryjecie? Ty w Australii, on w Australii, nie mogę zrozumieć. Stalinogród — nazwali Katowice — merde. A myśmy byli w Drohobyczu i do domu na Polnej nie wrócimy. Co z Langermanami? W piecu. Co z Hewrykiem, ślusarzem, Ukraińcem? Na Sybirze. Cholera, a tu, najdroższa Matusiu, jak z Lizbony do Witebska, od Antka do mnie. Tyle że bez wizy, ale trzy i pół dnia pociągami. I zamiast wydać dużo na bilet samolotowy, wolimy Matusi posłać parę paczek więcej. Pięcioro was mam — mówiłaś — na starość bodaj jedno zostanie. I nie zostało. Jak liście. Jak wiatr.

Zobaczmy się kiedyś z Antkiem. Gwiazdna ospa, zamieć, cisza nocy, nawet na hucznej St. Kilda nad ranem. Ulica Dalgety, Grey, potem Jackson Street i w lewo do *boarding-house* u Mrs. Clarke. Pokój 23. Otworzę radio. Świetne tu mają jednak programy. Pamiętnik. Teraz nawet Europę mogę złapać, Paryż. W studio 49 w małej kabinnie wyłożonej korkowymi płytami siedzi Jasio Winczakiewicz i czyta. Może jest przy nim Basia Maliszewska. Przez szybę znad maszyny, świateł i guzików, macha ręką Święcicki, brodaty pan Święcicki. Moosmann pali papierosa, stoi koło drzwi w narzuconym płaszczu. Nad Jasiem błyska czerwone światełko, zaszumiał włączony mikrofon. Cisza jak pod kloszem. Winczakiewicz chrząka.

Nie pisałem do nikogo, nawet mi nie wstyd, choć obiecywałem. Inny świat, inny czas. Trzeba by stolika, by się porozumieć, a w seanse ja nie wierzę. Dobrze, że grubas opowiadał o śnie, nie o stoliku. Inteligencja, życie towarzyskie, bez tego... „skapcaniejemy” — powiedział ktoś Ziarnickiemu, gdy ten się zapędził w piękny bezsensowny zaułek, gdzie przesada kurtuazji i wykwit styłu okazała się sąsiadką bzdury.

— Nie otworzę radia. Otworzę. Ale nie będę szukał Paryża. Tu rano, u nich właśnie wieczorna audycja. Patrzę na zegarek. Tak. Łapię 3 AK, mają studio na Grey Street, będzie długa microgroove płyta: Alcéo Galliéra

i słynny pianista węgierski Bela Siki. Słynny? Tu. A potem będzie reklama lodówek President. Serce nawala, nerwy, otchłań szafu znów wabi. Trzeba pójść do Spielmana. Lekarz, warszawski lekarz. Miły staruszek, siwe, dobre oczy, okulary, siwe włosy. Był u Ziarnickiego. Słuchał, ukłoniliśmy się sobie. Lubię go, pójdę do niego. Ktoś mówił o innym lekarzu, sławie ze Lwowa, nie ma prawa praktyki, pracuje jako subiekt u Myersa. U Majera, on przecież z Warszawy, z Grzybowskiej. Największy dom towarowy na południową półkulę, Galerie Lafayette i Printemps razem wzięte są mniejsze. Tu dobra obsługa, grzeczna, lekarz, w niebieskim fartuchu z napisem Supervisor wyhaftowanym na lewej piersi, sprzedaje chałki, czarny chleb, kiszzone ogórki, śledzie. Napis nad stoiskiem: *Kosher-Bar*.

Tak, pójdę do Spielmana. Zmierzy i zważy mnie po europejsku, nie na incze i stopy, funty i stony, ale na uczciwe centymetry i kilo. Zaraz lepiej się poczuję, gdy z białej kartki, jaką staruszek weźmie z biurka, odczyta mi, ile to będzie kilo. Cholera, chandra, zaczarowana doróżka ujechała w daleki rytm innej obcej pieśni. A tu kookaburry zaskrzeczą radośnie i jedynie, jak hasło muzyczne jakiejś zmowy, zadźwięczą jak śpiew cymbałów inne ptaki, a gregoraszki (Jasio tak zwie wszystkie nieznane ptaki) skrzeczą z chrząszczami, świerszczami i polnymi konikami, jak kastaniety, palma szumi suchymi liśćmi, ileż to razy dałem się nabrać, że to deszcz?

Sroda

*Jest tylko jedno, co daje pojęcie o nieskończoności :
głupota ludzka.*

(Maryse de Choisy)

Maryse de Choisy, moja profesorka ze Szkoły Dziennikarskiej z Paryża przypomniała mi się, kiedy patrzyłem na starszą panią na kanapce koło kominka. Na jakimś innym ekranie, czy w jakimś innym mikrofonie sprowokował mi przypomnienie jej powiedzenia Ziarnicki. Mówił o celach klubu, o jego powstaniu. Zapamiętałem poszczególne słowa, zdania i posmak nieśmiertelnego frazesu, jakim porządkował, jakim tokował i jakiego, przejęty, sam w sobie nasłuchiwał i szukał. Zastanawiałem się, czy on bierze

słuchaczy za półinteligentów, czy taka milcząca zmowa obopólna może długo trwać. Czy smród zanika, czy doń się przyzwyczajamy?

„Ożywieni głęboką troską o zachowanie polskiej kultury”. „Pod Krzyżem Południa, na Antypodach”. „Dopóki ja tu jestem i pozostanę nie dopuszczę do żadnych, żadnych, żadnych dysonansów rasowych”. „Kochajmy się”. „Co trzy tygodnie”. „Jak już sprecyzowałem, współpraca będzie wydajna”. „Finansjera nasza będzie zdrowa i demokratyczna, a operacje finansowe przejrzyste i celowe”. „Kurtuazja, formy towarzyskie, świetlana przeszłość naszej Warszawki”. „Wspaniałe tradycje polskiej dyplomacji”. „Herbatka, estetyczne filiżanki i spodeczki”. „Żona ma chody u Myersa”.

Był szyfrantem w ambasadzie Kota w Kujbyszewie. Szyfrant, według pragmatyki służbowej, był tylko pracownikiem ambasady, nie urzędnikiem. Dyplomacja? Finansjera, zamiast finanse i po co finanse i po co „operacje”? „Wydajna” aże pastuch. O, mowo polska na obczyźnie. Nikt cię tak nie męczy, nikt tak nad tobą się nie pastwi jak własni półinteligenci. Zabukowałem *ticket* na *holiday* na Kozjasko — mówił inżynier Szramik. Kozjasko — to góra Kościuszki.

Brawa. Były brawa. Teraz odczyt o Chopinie, „udało się nam uprosić panią Szczyt-Słodkowską, znaną polonii z Melbourne z piosenki o „Zielonym Kapelusiku” a jej znakomity odczyt, tuszę, wywoła burzę oklasków, zapisze się wiekopomną datą w annałach naszego klubu.

— Pani Ewa Szczyt-Słodkowska!

Siedzący obok mężczyzna wyciągnął rękę: Drymmer jestem. Pan ze Lwowa? Jacek mówił. Skinąłem głową, miły uśmiech, drugi uśmiech, facet ma twarz, jak gdyby trudnił się domokrążnym handlem grzebyków, były konsul generalny, reżymowy, ze Lwowa, miły uśmiech. Słuchamy odczytu.

Słuchamy. „Łzy deszczu”, „Żywny owszem, owszem”, „skrzypeczki”. Ale naprzód było: „ojciec Szopena był Szopa u Leszczyńskiego w Nancy”. „Mikołaj — czy słyszał kto imię Mikołaj we Francji”? „Lud, Wodzińska, moja biada i ta wydra George Sand”. Była wstrętna, odpychająca, w spodniach chodziła, wykończyła nieszczęśliwego, wściekliczna macicy, caryca, caryca, wykańczała go.

Nic w Nohant nie napisał. Już nie mógł. Gruźlica. Wiedźma. A chciał jeszcze. Nie mógł. Łzy deszczu.

Brawa. Lis patrzy na mnie, jakby śnił. Drymmer już mi szeptem: kretynka, wstyd, poziom dla drugiej klasy. Pani Klementyna ostrożnie ogląda reakcje innych. Napotykam na jej wzrok. Brawa. Zamierają. Zamarły. Cisza. Prelegentka zbiera materiały ze stolika mogącego uchodzić za Chippendale, jest spłoniona, wdzięczna, zarumieniona, potrząsa się cała na wysokich obcasach, spódnica jest zmięta, szew na łydce krzywy. Emocja. Zarumieniona. Krzywo nałożone pończochy na ładnej nodze doprowadzają mnie zwykle do szału. Ma ładną. Lewą nogę. Biję nagle brawo, bo nie chcę oszaleć. Ten szew, ten szew.

Lis patrzy na mnie z niepokojem. Ziarnicki stoi i czeka.

— Szanowni Państwo! Jakkolwiek brawa, dziękujące za tak wspaniały odczyt, opracowany gruntownie i rzeczowo, były obfite i rześiste, chociaż spontaniczne, uważam, państwo pozwolą, że wyrażę skromną opinię, iż brawa były niewystarczające. Za taki odczyt, drodzy państwo, za tę głębię — tu prawa ręka Ziarnickiego wygięła się w szpon, frunęła ku górze i zamarła — należą się jeszcze inne, więcej serdeczne, najserdeczniejsze oklaski. Chopin, Chopin. O, nie — kiwnął głową, nagle ruszył ku siadającej już Szczyt-Słodkowskiej, uklonił się, ujął jak do poloneza, wygięty w łuk ucałował jej obie ręce i wyprowadził ponownie do stolika. A tam przed nią sam bił brawa, dołączył do tych, które pięknym *speechem* wy dobył z sali.

Nowe rumieńce prelegentki. Na ruch ręki Ziarnickiego resztki braw i ich echa zamarły.

— A teraz nowość, proszę państwa. Państwo Karp byli tak uprzejmi i łaskawi wypożyczyć dla nas u znajomych radiogram marki Radiola.

— Brawo, Radiola — krzyknął Drymmer, a Szramik zachichotał. On w chwilę później, gdy Ziarnicki kładł poloneza As-dur w wykonaniu Rubinsteina (na nazwisko Rubinstein, powiew zadowolenia) i gdy ją zapowiadał: płyta pożyczona przez p. Szapiro — onże Szramik dodał: a pożyczona przez Poldka Ziarnickiego. Ten ostatni odparł: tak.

Potem była herbatka. I kanapki, tartynki, bouchées. Ze śledzikiem od Myersa. Z bryndzą. Z kielbasą, Z twarożkiem. Z ogórkiem. Z sardynką. Z salcesonem. Herbata w filiżankach. Panie roznosiły. Cukier roznosiła ta młoda mężatka, ta ładna. Gruby pan tak brał cukier, że zagład-

nał jej w dekolt. Cwaniak. Ale pani Pela to zauważyła. Cukier prelegentce z oddzielnej cukiernicy podał sam gospodarz domu. Tylko jej. Dyplomacja. Ma się ten dryg, czaruś, mówili moi ministrowie.

Z filiżanką herbaty i kanapkami podchodzi do mnie pani Maryla:

— No i co, podobało się panu. Ładne mamy odczyty, co?

— Czytała pani Karela Capka? — pytam. Pamięta pani? (Wypchaną buzią: kanapka ze śledzikiem, pokazuję Ziarnickiego). Pamięta to pani? Szpara w murze mówi: Czym chciałabym być? Wielką ogromną szparą!

Odstawia filiżankę i mruczy: Wróbel: wielka mi sztuka słownik, o ileż więcej jest nas wróbli!

Teraz ja. Pluskwa: Chcę, aby było wiadomo, że ja śmierdzę w imieniu wszystkich pluskiew!

I znowu ona: Mucha na oknie: Już wiem gdzie są granice rzeczywistości.

Któryś tam czwartek

Osobnik, niejaki p. dr J. Hempel, przywódca S.N. w Zagłębiu Naftowym, wyszedł z domu w dniu wyborów o godz. 3.18 z miną wyraźnie antypaństwową.

(Z protokółów policyjnych P.P. w Drohobyczu)

Na ciele denata znaleziono trzy rany. Jedna wielkości 5 zł. Druga wielkości 2 zł. Trzecia wielkości 50 groszy. Na łączną kwotę: 7.50.

Długo nie wracałem do pamiętnika. Nie chciało mi się, nie miałem czasu, byłem zajęty pisanem czego innego, robiłem porządki, prałem bieliznę dzieci i swoją, prasowałem, przypaliłem pepitkową spódniczkę Hanki. Przyszyłem też siedem guzików, co powinienem był zrobić dawniej. Byłem na imieninach Jasia. Miałem nocne szychty, robiłem owertajmy.

Mieszkam już w Toorak, u pani Klementyny. Miałem u siebie dwa razy dzieci na week-end. Urządzałem imieniny Haneczki, przyszły obie wnuczki pani Klementyny, czekają mnie jeszcze imieniny Jacka. Brzdące zamówiły sobie tort czekoladowy, ryż, ser i kurę. Już mają zachcianki

kulinarne. Jacek umie już czytać, raz zobaczył u mnie książkę kucharską: *French Cooking*.

— Ty umiesz gotować po francusku? — spytał zdziwiony. To czego nie wiemy o rodzicach, zawsze nas dziwi.

— Uhm.

— To zrób nam królika po francusku, dobrze? — naciągał mnie.

— Ja chciam klólika po flajcuišku — zapiszczała Hania i klaskała w dłonie. — Ja lubiem klólika. Ja już jestem duża, to na mój *birthday*? Tak? Pławda?

— Ty jesteś najlepszy kucharz na świecie — mruzcili oboje: I kup dużo bananów i lemoniady. (Lemoniada dla nich jest szczytem marzeń).

— Wiesz Hania, tatuś pracował w Paryżu w fabryce lemoniady i przynosił do domu zawsze po pracy lemoniadę. — Jacek kiwa głową, a Hania go słucha poważnie.

— Aha, ja pamiętam — z kolei ona kiwa głową.

— Nie, nie pamiętasz, byłaś mały bejbuś. Prawda, tatusiu?

Hania miała wtedy rok, więc na pewno nic nie pamięta, ale teraz klóci się z Jackiem. Oboje zresztą zaraz zapomnieli o sporze. Jacek ustawia pudełka koło radia i proponuje:

— To będzie ołtarz. Kaplica.

Hania próbuje, czy lalka jej klęknie. Leżę na tapczanie i obserwuję dzieci, palę papierosa. Hania mówi z udanym oburzeniem:

— W kościele się nie leży. Ani się nie pali papielosów.

Muszę zejść z tapczanu, siadam na fotelu. Tam Hanka pozwala.

— Tu nie jest kaplicia. Możesz palić.

Zadziwiająca jest jej powaga w tej zabawie, chociaż czuje fikcję tej kaplicy, łobuzersko się śmieje gdy wstaje z tapczanu, który jest w kaplicy jeszcze.

— A pamiętasz Hania, jak w Queenscliff piliśmy dużo lemoniady? W hotelu? Pamiętasz?

Hania nie bardzo pamięta, gdzie to było.

— Jak byliśmy u tatusia, gotował wtedy w hotelu? Pamiętasz?

Bardzo uważałem wtedy, by nie przechodziły koło pieca w kuchni, za to przychodziły do magazynu, gdzie na marmurowej płycie stołu przygotowywałem zwykle ciasta i desery. Sadzałem je na skrzyni z mąką i patrzyły zaafek-

rowane i przejęte jak ucierałem budynie, robiłem *jellies* i inne *apple pies*, jak przystało na australijski hotel. Nie było wtedy końca pytaniom: a cio to? a ciemu to czerwone? a ja chciem kosztować? Jacek był poważny i pilnie podpatrywał me ruchy i ich kolejność. Potem któraś z pięciu córek Mrs. Fonti zabierała dzieci na plażę: oprócz dobrego serca okazywały dyskretny lęk, czy zdążę z obiadem, co dzień oprócz stałych gości przyjeżdżał autobus turystów. Tadzio też pomagał pilnować Jacka i Hanki podczas tych kilku dni, kiedy je miałem u siebie. Aha, muszę napisać do Tadzia.

W klubie odbyły się trzy zebrania. Drugie było jeszcze u Ziarnickich, na dalsze następne wynajęto już jakąś salę. Mamy tam zarezerwowaną każdą drugą niedzielę. Dotychczas różne panie znosiły kanapki i ciastka z domów na półmiskach, owiniętych serwetkami. Właściwie przynosili je mężowie tych pań, panie przynosiły kwiaty i uśmiechy zażenowanej dumy w oczekiwaniu pochwał za te specjały.

Bardzo miła jest Ziarnicka. Jest coś naprawdę wzruszającego w jej przejęciu się polskością. Polskość dla niej — to niemal religia. Wszystko z literatury polskiej, co kiedykolwiek i gdziekolwiek było tłumaczone na angielski, wydobyła spod ziemi i widać, że wszystko przeczytała. Nawet zna wiele wierszy Norwida po angielsku. Było to dla mnie rewelacją, zastrzeżiła mnie tym. Uczy się po polsku.

Byłem raz u nich. Olbrzymi ich salon wydawał się pusty, gdy byliśmy tam tylko we trójkę. Było tam naprawdę miło. W dyskretnie oświetlonej pustce olbrzymiego salonu koniak Rémy-Martin (francuski, importowany) mienił się szlachetnymi kolorami, dym papierosów, branych z kasetki, unosił się prosto pod sufit. Było miło i bezpretensjonalnie. Omawialiśmy program wieczoru artystycznego, dobieraliśmy fraszki Hemara, Gałczyńskiego, Tuwima, Janty, a nawet Kochanowskiego i Morsztyna. Później rozmawialiśmy o Stefanie Themersonie i o jego książce angielskiej. Nieśmiało napomknąłem, jak pan Stefan w biednym pokoju hotelowym schroniska w Voiron grywał w szachy z kompozytorem Spisakiem, jak z któregoś Sylwestra wracaliśmy z Chaumière do Hôtel de la Poste, ululani na perłowo i chandrowo, po gołoledzi i trocinach. Pierwszy w życiu wiersz, jaki wyskoczył mi wówczas, dedykowałem Themersonowi, a on czytał mi swoje. Potem, gdy za nieudaną

próbę ucieczki z Francji siedziałem w więzieniu w Marsylii, właśnie z Antkiem, Themerson przysłał mi do więzienia swój poemat „Dno nieba”. W areszcie były wszy, różnojęzyczne klótnie zbieraniny z całego świata, głód, brydż i czytanie sobie wierszy właśnie Themersona. Tak jak Schulz, przepiękny dziwak i belfer od rysunków, uczył mnie poznawania dziwności świata — smutny i mroczny dom jego na Bednarskiej był bramą dla mnie na świat — tak samo Themerson, inny przepiękny dziwak, bratał mnie ze światem słowa. „Przyjaciołom z paryskiego Belleville’u” — pamiętam ciągle. Ciągle mnie ten sonet wzrusza.

— Czy ten Themerson nie będzie, panie Andrzeju, z Kocka? — zapytał poważnie Ziarnicki. — I jak on wyglądał? Duży, mały, czarny, czy nie?

Nie wiedziałem czy z Kocka. Opisałem jak wyglądał w Voiron.

— No to będzie ten — rzekł uroczyście i potoczył wzrokiem wokół, stalowe błyski chwil wielkich tliły się w tym wzroku.

— *Darling* — zwrócił się do małżonki — popatrz, *darling*, co za dziwny zbieg okoliczności. Słynny pisarz Themerson, któremu przedmowy pisze sam Bertrand Russell, okazuje się mym najserdeczniejszym kolegą z ławy szkolnej. Wiele to lat temu było, jak z droгим Stefanem (Stefan mu na imię, prawda? — upewnił się po polsku) kolegowaliśmy razem? Cóż za miły był szalawiła — z konfidenccjonalnym uśmiechem mrugnął okiem do mnie, lecz zorientował się szybko, że tak mówi się o kolegach hrabiach i dygnitarzach, przeto dodał poważnie: już wtedy zapowiadał się na tęgiego, genialnego i rasowego pisarza. Ach, Stefan, no tak... nie domówił objęty falą cieplusich wspomnień

Ziarnicka słuchała wpatrzona w męża jak w obraz. Uśmiechała się przejęta i wzrokiem całowała go, oddawała się mu. Tej nocy musiała czuć, że za męża ma wielkiego człowieka. Biedny Themerson, musiał mieć wówczas czkawkę, nawet nie wie, że dzięki niemu koścista Angielka była tej nocy mniej koścista, oddawała się polskości.

Rozmawialiśmy dalej o tym i o owym. Robiło się późno. Było ciepło, syczał gazowy piecyk, koniak wypijało się w atmosferze spraw kulturalno-artystycznych. Chciałem się wreszcie żegnać, i żegnałem się: mam daleko do domu.

W niedzielę jest mniej pociągów, jedzie się do mnie z godzinę, czasem więcej, gdyż w City trzeba przesiadać się i czekać.

— Niechże pan zostanie — mówił z wyrzutem w głosie pan Poldek — my chodzimy, jak cyganeria, spać późno. Naprawdę, z zegarkiem stale na bakier. Ma się tę duszę artystowską...

Przeprosiwszy mnie, że po polsku przestaje, tłumaczył po angielsku żonie, iż nie powinni mnie jeszcze puścić, miał ciepłe i głębokie akcenty w głosie, mówił o tym, jak o wielkiej i niezasłużonej krzywdzie. Prosił ją na koniec, by zechciała użyć swego wpływu i postarała się gościa zatrzymać. Wstawałem właśnie.

— Siadaj, panie Andrieju, nie wolno, nie cieba, siadaj — zwróciła się do mnie serdecznie i ujęła mnie za rękę, posadziła.

— *Darling* — wykrztusił boleściwie i zamilkł. — *Don't say siadaj*, to jest niegrzecznie (Ręką otarł spocone nagle z oburzenia i wstydu czoło). Nie można tak, pan Jej wybaczy, *you must say proszę siadać, you can't have bad manners when you speak Polish. You have to apologize.*

Zrobiło mi się głupio. Później w pociągu przypomniał mi się obraz zaobserwowany w hotelu w Omeo. Zwracano tam (przy gościach naturalnie) uwagę na czystość. Rita podawała pieczywo do stołu szczypcami z koszyczka. Raz potknęła się i straciła równowagę, przy tej okazji wypadły jej dwa rogaliki na podłogę. Podniosła je szczypcami z dywanu i z powrotem włożyła do koszyczka, po czym podeszła do następnego stolika i z miłym uśmiechem podawała w szczypczykach pieczywo dalszym gościom. Widziałem to przez otwarte drzwi, z radości zacząłem wydawać większe porcje *steak and kidney pie*. W sobotę musiałem zawsze oprócz innych potraw mieć w menu: *steak and kidney pie*, a na deser *apple pie* z sosem *custard* i *steamed ginger pudding*. Ginger, brrr...

Właściwie zawsze mnie bawiły różne i nieoczekiwane zawody, jakie musiałem wykonywać, chociaż to rzecz smutna raczej. Nieraz żałowałem, że nie zdobyłem jakiegoś uczciwego fachu kreślarza, frezera, czy szewca. Trzeba było wziąć się do studiów technicznych, może byłbym inżynierem? Kto wie? Mógłbym pracować wszędzie, inżynier to sprawa międzynarodowa. Zaraz w myślach słowo inżynier kojarzy się z Andrzejem Bobkowskim: miał

okropną awersję do inżynierów. Inżynier — to już było coś „najgorzej” dla niego. Chodzi oczywiście o jakiś specyficzny rys mentalności. O ileż jednak Andrzej, byłoby lepiej, gdyby Ziarnicki był inżynierem, a nie uważał, że ma formacje humanisty i smaczek cyganerii? Grozi nam inwazja półinteligentów, już jest, już trwa.

Pamiętasz swój szkic: „Zamiaty i osiągnięcia” z „Razem”?

Ach, jakież głupi byłem wtedy, bo młody: redagowałem pismo, a robiłem to lewą nogą, niezbyt się starając i przykładając doń, zaniedbując korektę. Dziś mnie bolą te zmarnowane możliwości. Cóż więcej boli jak własne uczciwe przeświadczenie, że było się głupim? Ale coś bardziej trudnego niż zimne i beznamietne analizowanie siebie samego, trzeba by być de Biranem, a to cholernie trudno. Na pociechę różnym Ziarnickim muszę dodać, że większość bezsensownych odezwań, pełnych patosu i wyrażań, dopiero po analizie wykazujących swą bzdurę półinteligencją, zaczerpnąłem z pisma, którego przed laty byłem jedynym redaktorem. Albo w pośpiechu nie umiałem lepiej, albo z różnych względów (nawał pracy, miłość, lenistwo, wódka) nie umiałem nie przeoczyć takich kwiatków, jakie powinny figurować w złotej księdze humoru, a jakie „puściłem” we wspomnieniu pewnego emigrantasamouka o Gabrielu z POWN (Jerzy Paczkowski, obok Hollendra chyba najdowcipniejszy człowiek drugiej Rzeczypospolitej. Ach, jakby oni używali sobie dziś na nas).

Na pociechę też przypominam sobie, że do radia raz „puszczono” w słuchowisku o bitwie pod Głogowem przepiękną maksymę: „wolność ojczyzny to rzecz wszelka...” (Rym do: wielka).

Ziarnicki zakończył wieczór towarzyski takim *speechem*:

— Serdecznie, naprawdę najserdeczniej dziękuję wszystkim za to, że innych zaszczyteli swą obecnością, że bawili się, że śmiali się i że bili brawo.

Przy słowach „serdecznie” i „najserdeczniej” kłaniał się uniżenie i najuniżeniej, przejęty własną kurtuazją, a ruchem głowy, rąk, krawata i spinek przy mankietach specjalnie akcentował te zwroty, nagle poniosła go fala patosu i zadowolenia z siebie i strzelił:

— Dziękuję, i mam głębokie przeświadczenie, iż jestem

wyrazicielem myśli wszystkich tu obecnych, za to, że bawili się ochoczo i proporcjonalnie...

Zabrakło mu powietrza, więc oblizał suche wargi dyskretnie koniuszkiem języka, zaczerpnął powietrza i już przywoławszy na twarz jeszcze miłszy niż dotychczas uśmiech, miał coś rzec dalej, gdy pan Jacek Lis spytał:

— Proporcjonalnie, do czego?

Śmiech bryznął po sali. Zdarzyło się tak, jak z atakiem śmiechu podczas stosunku płciowego: już nic z tego nie było. Owszem było: nienawiść Ziarnickiego do Jacka i do mnie. Miałem nieszczęście zarzyczeć pierwszy. Proporcjonalnie i pięcioprzymiotnikowo.

Poniedziałek

*Cóż, człowiek chodzi tak jak może
Obywatelu Redaktorze!*

(K.I. Gałczyński)

Miałem grypę, zadzwoniłem więc do Doktora, że na zebranie zarządu, jakie miało się odbyć u niego, nie mogę przyjechać. Zaproponowałem — było to już w niedzielę, a więc za późno, by postąpić inaczej — ażeby przywiózł zarząd do mnie. Wstałem i w szlafroku kręciłem się po kuchni: upiekłem kruchy placek z morelową marmoladą i kremem waniliowym na górze, przygotowałem trochę kanapek (u sąsiadów pożyczyłem sardynki) z czymś tam różnym i położyłem się z powrotem do łóżka. Pani Klementyna napaliła w kominku w salonie, Tadzik, jej wysoki syn ściągnął z najwyższej półki srebra i porcelanę. Chciałem gości przyjąć w swym pokoju, pani Klementyna uważała, że lepiej będzie w salonie, że wypada tak. Salon jest zresztą stylowy, autentyczny i gustowny.

W skład zarządu poza Ziarnickim wchodzi pani Maria Spielman, Laskowski, Doktor i ja. Pani Maria jest cicha i miła, co miłsze: mądra, ładnie i bezpretensjonalnie recytuje wiersze. Kiedyś — na innym zebraniu — chodziło o to, by podzielić funkcje w łonie tymczasowego zarządu. Ją typowaliśmy wszyscy na skarbnika, wszyscy wiedzieli to i wszyscy uważali za słuszne. Ale Ziarnicki prostą propozycję Doktora: Ta skarbnikiem bedzi w ogólności, pani, eeee, Spielman, to chyba najlepší bedzi — zaurzędował

inaczej. Wstrząsnął głową, zamilkł, ciszą zniewolił nas do patrzenia na siebie, a gdy to już nastąpiło, chrząknął:

— Nie, panie doktorze. Formy muszą być.

Znowu chwila ciszy. Doktor ujął ołówek leżący przed nim na stole i na kartce, też leżącej przed nim, jak przed każdym z nas, napisał tak, bym widział: sirota. Po chwili ciszy Ziarnicki zaczął tak:

— Proszę państwa! (Cisza) Wszyscy znamy panią Marię Spielman (cisza) i cenimy (cisza) i lubimy. Jej osoba jest najlepszą gwarancją, wymarzoną wprost gwarancją, że finansjera nasza będzie prowadzona zdrowo, rzeczowo, skrupulatnie, ochoczo, uczciwie, niepomna na żadne trudy, pełna gotowości i uczynności. Grosz publiczny rzecz śliska i święta, pani Maria weźmie się do tego najlepiej, poprowadzi i dojdzie...

(Tak przez cztery i pół minuty. Doktor ziewał. Pani Maria siedziała czerwona. Laskowski dłużył w uchu ołówkiem i pilnie obserwował zażółcony woskowiną koniuszek ołówka z napisem: *Commonwealth of Australia*. Doktor patrzył na Ziarnickiego i stękał, zmieniał pozycję na krześle. Ziarnicki wreszcie skończył).

— No to dobrze. Pani Maria bedzi skarbnikiem — mruknął Doktor i chciał coś powiedzieć już w innej materii.

— Chwileczka, doktorze, musimy jeszcze głosować — niecierpliwiał się Ziarnicki.

Głosowaliśmy. Cztery głosy za, zero przeciw. Jedna wstrzymująca się od głosowania: pani Maria.

Doktor Charles Smith ordynuje na najbardziej *fashionable* ulicy Collins Street. Nazywa się Zygmunt Frenkiel i pochodzi, akcent to zdradza, że Lwowa, ale tu służył w armii australijskiej, naturalizował się, uznano mu dyplom. Zaczętą we Lwowie medycynę kończył w Pradze, wiadomo: Żyd, *numerus clausus*, młodzież wszechpolska, dekle i lagi korporanckie. Mogło to pozostawić uraz, nie pozostawiło. Pozostał w nim lwowski patriotyzm i dusza batiara. Jest tu prezesem klubu piłkarskiego „Pogoń”. Żydzi uważają go często za antysemitę, bo trzyma z Polakami, niektórzy Polacy za Żyda, a więc odpowiedzialnego za wszelkie zło, odbija się to ujemnie na jego klienteli, ale i tak ma jej dużo. Polacy nie chcą wiedzieć, choć wszyscy to widzą, że pomaga on wielu ludziom, lecz za darmo i sam kupuje nieraz lekarstwa, choć z bogatych to

pociągnie tłuste honorarium, jak przystało na lekarza z Collins Street. Wydaje wiele z własnej kieszeni na Pogoń i pogoniarzy. Ma jeszcze jedną pasję: polski teatr. Właśnie na ten temat mieliśmy obradować. Z Sydney chce przyjechać polski teatr. Amatorski, ale dobry. Jak długo amatorów, dobrze i z sercem grających, trzeba uważać na amatorów?

Zarząd przybył z opóźnieniem, była rozmówka z panią Klementyną, chwalenie salonu, obrazów i mebli Empire. „Prawdziwe autentyki — młaskał Ziarnicki, wyjmując fajkę z ust. Ja siedziałem zawinięty w szalik i koc. Ciasto też chwalono. Potem pani Klementyna chciała się ulotnić i zbierała już filiżanki po herbacie. Doktor był trochę różowy i pachniał alkoholem: Pogoń wygrała ważny mecz z żydowskim Hakoahem, cieszył się jak dziecko. Miało już zacząć się zebranie, więc Doktor przysunął fotel do stołu, lecz siadł chwacko i zamasyżuje. Siedzenie wypadło, on wpadł w ramy, jak raz Hania w za duży nocnik. Efekt: złamał fotel. Stylowy, autentyczny Empire. Głupio się zrobiło wszystkim, najbardziej mnie: moi goście. Pani Klementyna parsknęła śmiechem i wyszła, pocieszając zmartwionego Doktora, że to drobiazg. Ziarnicki siedział jak głaz, żaden nerw mu nie drgnął w twarzy. Ciągnął tylko i puszczał z fajki kłęby dymu.

Z teatrem to było tak. Istnieje już od kilku lat w Sydney i jest dobry. Był tu w zeszłym roku z „Latem w Nohant”, a przedstawienie zakończyło się sukcesem kasowym i towarzyskim. Meble do dekoracji pożyczono właśnie od pani Klementyny. Smith wystąpił z przyjęciem dla zespołu, organizatorów i ważniejszych osobistości na 50 osób. Przyjęcie było wspaniałe. Mówiła mi o tym pani Klementyna, mogę więc wierzyć. Byłem wówczas w Queenscliff. Chwalił je również Franek: koryto, żardło i ochlaj były fantastyczne — mówił i młaskał. Papierosy w kasecie też i różne. Kasowy sukces był niespodzianką, gdyż goście zażądali więcej pieniędzy niż zapowiadali, jako zwrot kosztów, oraz dlatego, że endecy zbojkotowali imprezę ze względu na „tego żyda Smitha” (małe ż czuje się od razu) a Żydzi ustosunkowali się obojętnie do polskiego teatru. Mają tu Sarę Holzer, nie wierzą w żaden inny teatr. Był to bardzo pocieszający skądinąd objaw, okazało się, że oprócz endeków i Żydów jest jeszcze w naszej emigracji trochę zwykłych ludzi.

Smith zwołał komitet obywatelski, który miał przygotować przyjazd i organizację występu zespołu doktora Cynamona ze Sydney. Sam wyjechał na urlop z żoną i synem (z babami — szeptali endecy), ciężar organizacji spadł na inżyniera Przedgórskiego i Ziarnickiego. Ziarnicki zaraz wycofał się, powiedział, że szanuje doktora Cynamona w ogólności a Teatr Polski jeszcze wyżej w szczególności, ale *takiej imprezie on swego nazwiska i poparcia nie użyczy*. Skrewił, uważano go za człowieka teatru, za fachowca, poczuł się dotknięty, że nie zwrócono się do niego z tym z Sydney, choć już tu był przez rok prezesem klubu polskiego i miał kawiarnię. Przedgórski szalał, znajome panie wciskały znajomym bilety, wynajęta od metodystów sala nie miała sceny, w ostatniej chwili Smith przywiózł swym Customline'm pięciu piłkarzy, dziesięć butelek piwa i kazał im (chłopcom) zrobić scenę. Wszystko się udało. Było prawdziwe przedstawienie prawdziwego teatru. Ogromnie gruby doktor Bęben, świetny pianista, grał za sceną, że łzy stawały w oczach, pianino było nawet nastrojone (Przedgórski, inżynier, pomyślał o tym, Andrzej) choć bez jednej nogi. Redaktor Winowski grał Chopina na scenie, Anita grała George Sand lepiej niż Przybyłko-Potocka, tak twierdzili niektórzy. Po teatrze była party u Doktora. Aktorów i aktorki rozchwyтали goście Smitha do siebie na nocleg, ażeby taniej było. I panie spały u pań, panowie u panów (mogli, Winowski nie jest Ziemińskim). Więc ten teatr ma ochotę teraz przyjechać z „Przepióreczką” i z „Lekkomyślną Siostrą” i na ten temat mamy „obrado-
wać”.

Ale jeszcze małe wyjaśnienie. Reżyser Cynamon napisał list do Doktora, równocześnie też do inżyniera Pyzińskiego i redaktora Bociańskiego. Tamci dwaj jakoś nie zachwycili się tym projektem. Zwrócenie się do Pyzińskiego miało ściągnąć endeków i klan Skirgiełłów, ziemian z Litwy, Bociański z „Tygodnika Katolickiego” miał automatycznie zneutralizować ojca Romana, który z ambony może zapowiadać turniej brydżowy z dochodem na Dom Polski im. T. Kościuszki (Spółdzielnia), ale nie mógłby zapowiedzieć teatru i to jeszcze niemoralnego Perzyńskiego i masona i komunisty Żeromskiego. Pozostał więc sam Smith, którego w liście dr Cynamon nazwał skromnie „ojcem teatru polskiego w Wiktorii”.

Tężyłowicz przyszedł raz z czyrakiem do Smitha ten

poinformował go o liście. Z kolei Tężyłowicz powiedział o tym Ziarnickiemu. Ziarnicki zawrzał jak kolano w ataku zapalenia stawów, dzwonił do Sydney, oburzył się, że jego pominięto, a tym samym „zapoznano jego działalność jako organizatora klubu jako takiego”. Dyplomata Cynamon napisał wobec tego i do niego list, na wszelki wypadek jeszcze do kogoś: było już pięć osób, z których każdą proszono o zajęcie się zorganizowaniem przyjazdu trupy teatralnej. Ziarnicki przyleciał do Smitha i od progu zaczął machać listem. Na datę wylał atrament, by nie było poznać, iż list otrzymał w dziesięć dni później niż Doktor.

Piątek

*Na płot, co własnym swoim płoctwem przerażony
Wyziorne szczerzy dziury w sen o niedopłocie,
Kot, koczurak miauczurny, wlażł w prosie-lakocie
I podwójnym niekotem ściga cień zielony.*

(J. Tuwim, parodia Leśmiana)

Znowu te głupie szychty popołudniowe, wielu na nie narzeka, a ja je lubię. Wracam ostatnim pociągiem, wszyscy już śpią, jeszcze w płaszczu stojąc w kuchni gotuję wodę, by zaparzyć herbatę. Przegryzę sucharami, nastawię u siebie cicho radio, zapalam papierosa i siadam do pisania. Nazwy Koroit, Tallygaroopna, Mysia i Pura-Pura pozostają za mną. Na dnie nocy jest cicho. Czasem dopiero kookaburry zaskrzeczą nad ranem, dając znać, że czas iść spać, kiedy indziej radosne czarne ptaki zadzwieczą jak swawolne hasło uliczników. Pomknie pierwszy pociąg do stacji.

Ziarnicki mnie wyraźnie nie lubi. Wolno mu. On mnie śmieszy, czemu i on nie miałby prawa pośmiać się ze mnie? Pani Klementyna słyszała na zebraniach tokującego ze swadą Ziarnickiego; ludziom o miłym głosie i mówiącym ze swadą wiele się wybacza dla melodyjności słów, słyszała jego wiele dające się domyślać *zwischenruffy* na temat MSZ, opowiadał o Moskwie, gdzie on jedyny kiwał NKWD, opowiadał barwnie i z ujmującym uśmiechem skromnisia. Więc kiedyś, gdy jadłem w kuchni śniadanie, a ona szła w sąsiednim pokoju, i tak rozmawialiśmy, wyznała, że już zastanawia się, czy naprawdę nie widziała go

kiedys u Becków. Przez salon pani Jadwigi zawsze prze-
wijało się wielu młodych ludzi, mogło więc to być, tym
bardziej iż przez częste stykanie się z Ziarnickim wydaje
się i mnie, że go skądś muszę znać. Mało się nie udławi-
łem boczkiem, taka mnie nagle zdjęła pusta chęćka do
śmiechu. Zapłakałem się ze śmiechu, w życiu zawsze znaj-
dą się momenty nieoczekiwanego humoru. Pani Klemen-
tyna zanosila się śmiechem: Rzeczywiście, Ziarnicki
u Becków? Czasem wystarczy wypowiedzieć głośno swą
myśl, by pojąć jej niedorzeczność.

W parę dni później Ziarnicki telefonował do pani Kle-
mentyny, komunikował jej, że grono nasze się powiększa
i że spotkał nas niezwykle zaszczyt: autentyczny (rozstrze-
lenie liter w tym słowie czuła pani Klementyna doskonale)
profesor filozofii ścisłej z UJK, Gerlach, chce wstąpić do
naszego klubu. Pani Klementyna sama studiowała we
Lwowie, pamięta Wartenberga, kończyła u niego, nie
mogła sobie przypomnieć nazwiska profesora Gerlacha.
Powiedziała to. Ziarnicki chrząknął z oburzenia, któż lubi,
gdy jego powagę i wiarogodność informacji poddaje się
choć w najmniejszą wątpliwość? Zimnym głosem spytał
ją uprzejmie:

— Czy pani jest pewna aby, że studiowała we Lwowie?
Zatkało ją, tak to było nieoczekiwane.

Wielu znajomych oburzyło się na nią, że chodzi do ży-
dowskiego klubu. Skirgiełłowice ochłodli, ich litewska i za-
ściankowa mitra książęca obróciła się tyłem do hrabianki
Sobańskiej, Pyziński i pułkownik Grabowski boleli nad
tym serdecznie, stracili bowiem w niej partnerkę do bryd-
ża, a gra ona jak szatan. Białopiotrowiczowie oziębli wi-
docznie, Dyzio Tyszkiewicz już był teraz ciągle zajęty
i bardziej sztywny w ukłonach. Boleli srodze, że żydo-
masoni zahipnotyzowali panią Klementynę. Mąż jej był
dyrektorem na Śląsku, miał ponad 4.000 złotych miesięcz-
nie, szwagier był marszałkiem sejmu czy też senatu, a tu
ona „na emigracji tak straciła fason”. Są rzeczy, których
nie można przeboleć, nie na darmo ktoś wymyślił i do
słowników wsadził słowo: snob.

Na zebraniu zarządu pokłóciliśmy się o ten teatr. Doktor
wstawał i chodził po salonie, nie mógł już wytrzymać, ja
zgorączkowany i z rozluźnionych koców na kanapce wy-
garniałem Ziarnickiemu, że jego stanowisko to dowód ma-

łości, że go zżera ambicja. Czy nie czuje, iż jego maniera tych dziękowań serdecznych i najserdeczniejszych ludziom za to, że bawili się i bili brawa, a bawili się proporcjonalnie — to ślizganie się na krawędzi nonsensu, to fryzjerska grzeczność?

— Pan jest jak zwykle agresywny, pan ciągle jest dużym niesfornym chłopcem — cedził zimno Ziarnicki — i o ile dobrze rozumiem, występuje przeciw kurtuazji, a dopóki ja tu jestem, to jestem właśnie dumny z tego, dopóki ja tu jestem — głos jego mroźniał i nabierał metalicznych akcentów.

Spielmanowa i Laskowski siedzieli nieruchomo. Twarz pani Marii nic nie wyrażała. Laskowski liczył niedopałki w popielniczce.

— Niech się pan nie robi na Rejtana, panie Leopoldzie — dusiłem się w kaszlu — „po moim trupie” i inne „dopóki tu ja jestem” to nonsensy. Zapomniał pan jeszcze dodać „czy pan wie, kto ja jestem?” Krzyknij pan: „ja, radca Poniński”! On jest w Sydney.

— Pan rzeczywiście nie wie, kto ja jestem. A poza tym nie mogłem powiedzieć „proporcjonalnie”, bo to byłby nonsens — wzruszał spokojnie ramionami wyniosły Ziarnicki. — To pan ma nieznośną manierę; po odczycie i herbatce zaatakował pan Szczyt-Słodkowską, używał pan niedopuszczalnych terminów jak „bzdura” i „głupi szowinizm”. Było to przyznam, interesujące, to ożywia zebranie, ale też odstrasza chętnych, którzy chcieliby wygłosić jakiś odczyt. Pan jesteś niesfornym chłopcem, *enfant terrible*. Nawet majora Tężyłowicza zaatakował pan, zwykły ułan (co pan z śmieszną dumą podkreśla, choć winien się pan wstydzić), że mówiąc o Indochinach twierdził, że Azja reprezentuje, jak zawsze, pustkę duchową. Pan zaraz wyskoczył z terminem „bzdura” i mówił o iluś tam dziesiątkach wieków kultury Chin i Indyj. Co to ma wspólnego z Indochinami? Albo po co pan mówił o admirale Thierry d’Argenlieu, że był opatem czy generałem jakiegoś zakonu? To major nie wie o generale? Śmieszne. A ułan wie. Kto, pytam, wprowadza nieznośną manierę? Kto, pytam? — brał Laskowskiego i Spielmanową za świadków wzrokiem cierpiénika za dobrą sprawę. Doktora tym wzrokiem nie obejmował, pewny był jego wrogości.

— Rzucam gromki zapytas — zaśmiałem się. Przypominała mi się znowu Maryse de Choisy i cytowany przez nią

Bernard Palissy: *Je préfère la vérité en un langage rustique, que le mensonge en un langage littéraire.* Gdzie jest teraz Allan Kosko? — Razem rozczytywaliśmy się w „Maximes” Chamforta. Przyszedł on raz do mnie, w radio dyrygował Klecki. Był festiwal beethovenowski, z Lucerny, zdaje się. Gryźliśmy orzechy. Za oknem była emigrancka ulica Fondary, Paryż huczał metrem i syczał smażącymi się po innych pokojach befsztykami. Allan dyrygował stojąc przed lustrem.

W radio teraz jest Symphonic Suite Chaczaturiana. Microgroove. Speaker poszedł spokojnie na *cup of tea*. Odłożyłem pióro: czy to naprawdę Chaczaturian? Zaleciało mi Sibeliusem, Czajkowskim i jakieś niezidentyfikowane wspomnienia gnały przeze mnie. Są, wydawałoby się głupie chwile szczęścia i zadowolenia, nieoczekiwane i najdziwniejsze i warto dla nich żyć i znieść wiele upokorzeń, przykrości i bólów. Czy samobójcom nie żal tych pięknych książek, których już nie przeczytają? Koncertów, których już nie wysłuchają? Krajobrazów, jakich już nie zobaczą?

Niedziela

Rada: Czego nie możesz sam zrobić, to przynajmniej nie pozwól innym.

(Capek)

Teatru nie będzie, przynajmniej na razie. Głowa mnie boli, nie ma sensu opisywać tego zebrania. Ziarnicki, a za nim Spielmanowa i Laskowski przegłosowali Doktora i mnie. Nareszcie zobaczyłem w twarzy Ziarnickiego zwykły ludzki uśmiech, gdy wygrał. Uśmiechnął się do fajki, którą nabijał kciukiem. Teatru nie będzie. Klub, to znaczy Ziarnicki, może ściągnąć na swój wieczór towarzyskobrydżowo-taneczny z bufetem polskim (o, nostalgio kulinarna!) jakiegoś nieznanego nikomu „słynnego” magika, który Szramikowi odpinał szelki, a Lisowi wyciągał królika z za pazuchy czarnej wizytowej marynarki, natomiast Polski-Klub-Kulturalno-Artystyczny w Melbourne „Widnokreśli” mający na celu „propagowanie kultury i tradycji polskich na Antypodach” nie może się zająć sprowadzeniem teatru polskiego z Sydney, dlatego, że do Ziarnickiego „jako takiego” nie zwrócił się reżyser Cynamon przed innymi, ale po listach do nich.

Kiedy i Ziarnicki otrzymał z Sydney ów list, którym machał od progu Smithowi, zaofiarował się Doktorowi, że wynajmie salę. Jest dobry nowy teatr na Carlton — twierdził Smith — i tam byłoby dobrze pójść, zorientować się, czy można na żadaną datę zarezerwować salę.

— Moja małżonka to załatwi — stwierdził Ziarnicki sucho. — Ma chody.

— Nie wiem, czy trzeba fatygować panią. Smith też potrafi być dyplomata. Nadużywanie jej cennych chodów do sprawy, którą można telefonicznie załatwić jest zbędne. Po prostu dzwoni się i pyta po angielsku, czy na taką datę sala może być, a jeśli tak, to wpłaca się zadatek.

— My to załatwimy — zakończył dyskusję Ziarnicki — klub wyłoży pieniądze.

Przez trzy tygodnie Ziarnicki był zajęty organizowaniem wieczorku z magikami i fraszkami i z polskim bufetem. Bufet był polski, jak pisano na zaproszeniach, rękojmnią jego polskości i przyrządzenia były panie Ziarnicka i Tężyłowiczowa. Pierwsza jest Australijką o hiszpańskim typie urody i skończyła muzykologię i literaturę, druga jest Rosjanką z Łotwy i studiowała w Niemczech, mówi też siedmioma językami. Bufet był więc polski, tym bardziej, że Ziarnicki dzwonił do mnie dwukrotnie „z prośbą o cenną poradę”: 1) Jak się robi makagigi? 2) Czy do barszczu małosyjskiego dodaje się uszka i kiedy? 3) Co znaczy termin *Al Sugo*, gdyż mają tam być *spaghetti*, jakich Melbourne jeszcze nie zna. Raz dzwonił o godzinie 11.48 w nocy. Miał wątpliwości. Właśnie z makagigami.

Wreszcie okazało się, że pani Sylvia nie mogła dwukrotnie znaleźć „tego kogoś, kto te sprawy tam załatwia”, ze zwykłą sekretarką nie było co rozmawiać, ostatecznie zdesperowany Ziarnicki *pojechał sam* i u tej sekretarki zarezerwował salę, trzeba tylko zapłacić 30 gwinei za *booking*. Natychmiast zjawił się z tą wiadomością u Doktora. Ubiegł pacjentów i od proga krzyknął:

— Jest sala! Załatwiłem!

— To fajno — powiedział Smith.

— Fajno, fajno — skrzywił się Ziarnicki — ale trzydzieści gwinei trzeba zapłacić.

— Czy klub nie wyłoży? — zdziwił się Smith. Właśnie miał mieć badanie młodej i biuściastej pacjentki.

— Nie mogę bez porozumienia z zarządem. A poza tym

nie mamy jeszcze tyle w kasie — rozłożył ręce. — Grosz publiczny, wdowi, rzecz święta.

— Wdowi? Ta co pan pieprzy, panie kolego — Smith się zaśmiał.

Ziarnicki natychmiast wrócił na Punt Road z pieniędzmi Smitha. Sala więc była. Ale przedstawienie miało odbyć się już za miesiąc, a Pyziński i Bociański wykręcali się od współpracy. Zebranie nasze przeto było burzliwe. Sala już była. Teatr z Sydney chce przyjechać, Anita już cieszy się, konsul Kobyłkiewicz, co na starość zaczął pisać wiersze i Winowski mają ochotę popić tego, jak ostatnim razem, chcą tylko stanąć w hotelu wspólnie z Cynamonem, jest to mniej krępujące, nawet w purytańskim hotelu australijskim, niż prywatnie u kogoś. Smith chce połączyć przyjęcie po teatrze razem z balem Pogoni, chce by Anita rozdała piłkarzom proporczyki.

— Baba jak rzepa, ta niech skonam — mówił mi o tym — a we wogóli w zdrowym cieli zdrowy duch. Sport i teatr, fajne połączenie. Już dam panu naprzód zastrzyki na reumatyzm, żeby można było trochi wypić.

Zeszłym razem, gdy nie było jeszcze klubu, „Lato w Nohant” przyniosło 40 funtów dochodu. Teraz jest klub, który bez wysiłku rozprowadzi ponad 100 biletów wśród członków i ich znajomych. Na „Lecie w Nohant” była też jedna Skirgiełłówna, ta bardziej samodzielnie myśląca i nie zawsze średniowiecznie; szczerze wyznała pani Klementynie, że tu nic nie było zdrożnego, a była podekscytowana i chora z wrażenia: po raz pierwszy była w polskim teatrze, koło Birż tego nie było. Ze zdziwieniem też dostrzegła na sali inżyniera Pyzińskiego, tego który nie chciał pomóc, a *Mamusi dał słowo honoru, że jego noga na takim czymś nie postoi.* Wszystko więc wskazywało na to, że sukces i tym razem będzie, a kasowo zapewne większy.

— Trzeba jednakowoż brać pod uwagę i deficyt. Panowie jesteście optymiści. Wiadomo: jeden lekarz-piłkarz, a drugi poeta-kucharz, pracujący na poczcie — doradzał Ziarnicki i wzruszał barami.

— Ta co ma być deficyt? — denerwował się Smith. — Ta to tylko od nas zależy, od tego jak się zabierzemy do organizacji całego bajcu. Chiba pan nie nawali jak przedtem, *I hope, co?*

Ziarnicki rzucił się w fotelu jak epileptyk. Zamilkł. Przyszła mu w sukurs pani Maria.

— Podobno ostatnim razem koło z Sydney zażądało więcej pieniędzy niż to było ustalone? Należałoby się spodziewać, że i tym razem zrobią nam psikusa.

— O, to właśnie, psikusa. — Ziarnicki odzyskał mowę — Właśnie.

— Ta ludzi, ta oni robią próby, tracą — eee — czas, paniom mężowie płacą za ich podróż, poświęcają się i jadą z nimi sami, a jak puszczają je same, to się jeszcze więcej poświęcają. Przyjazd tu to dla niektórych — eee — strata dwóch-trzech dni pracy. Kobyłkiewicz pracuje jako subiekt. Wiesio na kolei sprzedaje bilety. Ta zastanówcie się, ja myślím, że my wogóli nie powinni *take notice of* tych zastrzeżeń. Zresztą, jak bedzi deficyt to ja pokryję. Co znaczy deficyt, to nie egzystuje!

— Nie ma pokrywania z własnej kieszeni — odezwał się Laskowski. — To tylko demoralizowanie pracy społecznej, przyzwyczajenie do liczenia stale na kogoś.

— Jaki mógłby być deficyt? — spytał Ziarnicki.

— Deficyt jest prawie wykluczony — odrzekłem — zważywszy na to, że dochodzi klub, który rozprowadzi trochę biletów i że różne uprzedzenia zelżały już. O ile będzie dobra organizacja deficytu nie będzie. Ponieważ jednak i kucharze i kiepscy poeci są czasem realistami, myślę, że przy najniezwyklejszym zbiegu okoliczności deficyt nie przekroczyłby kosztów wynajmu sali, ze sprzedanych wstępów pokryje się cenę biletów drugą klasą dla zespołu z Sydney, tu i z powrotem.

— A na co pójdzie dochód? — znów zadał pytanie Ziarnicki. — Powinien pójść na nasz klub.

— Na Dom Polski dochód, to ściągni i publiczność i okaży, że uprzedzenia do nas, iż jesteśmy aspołeczni, są niesłuszne.

— A nie, dochód na nasz klub — upierał się Ziarnicki.

— Zeszyłym razem było na Dom Polski — przypominał Smith.

Ziarnicki kłócił się o dochód dla klubu (bo my jesteśmy placówką na Antypodach, w trosce o kulturę polską), ale nie chciał, by w ewentualnym deficycie klub zobowiązał się do pokrycia 30 funtów. Również Smith nie może sam pokryć deficytu, bo to niespołecznie. Dochód ma być na klub, ale klub zajmie się tylko sprzedażą biletów, natomiast ryzyka finansowego zarząd klubu nie może przyjąć na siebie, nawet do wysokości 30 funtów. Trzeba czekać

na walne zebranie, a następne zebranie będzie na tydzień przed datą przewidzianą na teatr, a więc za późno na cokolwiek. Formalnie wszystko w porządku. Nie możemy decydować. Możemy bez porozumienia z walnym zebraniem kupować spodki, filiżanki i obrusy, Ziarnicki może nawet bez porozumienia z zarządkiem angażować magika, ale nie możemy zaryzykować paru groszy na sprowadzenie zespołu dramatycznego z Sydney, w trosce itd. Ich było troje, nas dwóch. Ziarnicki triumfował. Przegłosowali.

— Pan również otrzymał list z Sydney? — spytałem.

— Tak, oczywiście.

— Kiedy?

— No, zaraz sprawdzę — nałożył okulary i zaczął kartkować czerwony notes z monogramem. Trwało to długo i bez skutku.

— Ta co pan szuka? — zakpił Doktor. — Pan dobrzy wi, tylko pan nie chce się przyznać, że pan dostał ów list ostatni i dopiero po osiemnastu telefonach do Cynamona. *Hier ist der Hund begraben.*

Ziarnicki przełknął ślinę i przestał kartkować notes. Pa-lił spokojnie fajkę.

Nazajutrz okazało się, że w fotelu w którym siedział Ziarnicki jest wypalona dziura. Pani Klementyna była zmartwiona, ale pokryła to uśmiechem, tak jak w życiu, momenty wzniosłe i poważne płaczą się z przyziemnymi. *C'est la vie.* W chwilę później przysła jej wnuczka Alex i spytała:

— Mister Andy, kiedy Jacek i Hanka przyjdą znowu tutaj?

SŁOŃCE WSCHODZI I ZACHODZI

Statek nazywał się „Madonga” i pływał pod panamską banderą, a jego właścicielem był hrabia Czetwertyński. Była to zwykła *tajba*, stare frachtowe pudło, wożące algierskie wino i drobnicę. Nic więc dziwnego, że w załodze byli sami pijacy, przeważnie Polacy, gdyż obywatel panamski, hrabia Czetwertyński, miał dalej słabość do dawnych rodaków. „Madonga” szła właśnie do Montpellier mając w swym wnętrzu pełne tanki dostatego w słońcu wina — *pinar'u*. Pogoda była znośna, humor kapitana Nietrzebki również, załoga raczej spokojna, wyszumiała i uciszona wewnątrz w burdelikach i kafejkach Algeru, wachty płynęły bez wydarzeń, a przez *bulaje* do ciasnej kabiny zaglądała niebieskość wody i nieba. Grano tam w brydża. Grali: Jasio Zaniewski, Bolek Włodarz, kucharz Tyczyński i pierwszy oficer Włodzio Cebulski, bratanek ministra.

Jasio Zaniewski: lat 29, blondyn z wąsikami, jedno oko szklane (pamiątka z francuskiej Résistance), magister literatury porównawczej z Grenoble, po wojnie szmugler aut i ludzi z Niemiec do Francji, kobieciarz wyjątkowy, pijak także, chłopak z dobrej rodziny, człowiek inteligentny, koleżeński, trochę poeta, neurastenik i właściciel dziwnego, ale oryginalnego zmysłu humoru. Przeszłość bogata — materiał na cztery tomy powieści, gdzie byłoby wszystko, co w życiu może się zdarzyć i co zdolne jest zaświadczyć o bezsensie życia z jednej strony, a głębokiej sprawiedliwości, moralności i konsekwencji wydarzeń z drugiej. Na statek przysiadł się niedawno, wygłodzony na *bunie* w Marsylii, bez pieniędzy i papierów, robi drugi rejs.

Kucharz Tyczyński: przed wojną był kompozytorem przebojów, o których ciągle mówi, gra je na mandolinie i ochryple śpiewa z wdziękiem Armstronga, gotuje dobrze, nerwus, o byle co terroryzuje kapitana groźbą, że zejdzie ze statku. Jest ulubieńcem starego, czyli Hrabiego. Brzuch ma wielkości średniej łódówki. Jego pasierb George, syn żony Szkotki, pracuje na statku jako kuchcik i mówi o nim *wuja* (po polsku umie z trudem wypowiedzieć kilka prostych zdań). Tyczyński to alkoholik. W napadach delirium tremens prześladowa go białe myszki. Lat 50, resztki włosów — siwe, utyka na lewą nogę.

Włodzio Cebulski: inżynier z Brukseli, absolwent Szkoły Morskiej, pływał na Batorym, później na angielskich i szwedzkich tankowcach; w czasie wojny uzyskał kilka odznaczeń za rejsy po Północnym Atlantyku, był w Murmańsku, w Kapsztadzie, w Nowym Jorku i Singapurze. Uważa się za bardzo przystojnego, kobiet nie lubi, wszystko u siebie tłumaczy kompleksami, tychże tłumaczeń nie dopuszcza u innych. Stryjek jego był ministrem w Genewie i Włodziewi posyła pieniądze, stąd jest on dla bratanka dziecinnie śmiesznym, ale i wzruszającym autorytetem we wszystkich sprawach, szczególnie nie związanych z prawem międzynarodowym, którego stryj jest rzeczywiście tęgim znawcą, a nawet europejską sławą. Włodzia ulubiony monolog na nadrannej wachcie 4-8 jest następujący:

— Noc, widzisz, zimno, cholera, zachciało ci się morza, tłuczesz się, psiakrew, po tak zwanych bezbrzeżach, tkwisz jak kołek przy sterze, deszcz, zimno, wiatr, do rana daleko, a tak mogłeś sobie na lądzie spać wygodnie, koło swej baby i przez sen, sennym, ale czujnym ruchem, sprawdzić, że ona jest koło ciebie, ręką ją głaskać po rozkroczu, po ciepłych włosach i nawet *nie wchodzić w nią*, jak to określa Stary Testament o Dawidzie i tej jego *dziuni*, a tylko pogłaskać sobie i ze słodkim przeświadczeniem, że ona jest, że jest tuż, i że kiedy zechcesz, to możesz ją mieć — obrócić się na drugi bok i uderzyć w spokojne, syte, zadowolone, długofalowe kimono. A tak co? Noc, widzisz, zimno, cholera, zachciało ci się morza...

Ten bardzo długi monolog Włodzio wypowiada błędnie, wiernie i beznamietnie, jakby ilustrując ów ruch senny, ale czujny. Ten monolog, z treścią i formą którego każdy na „Madondze” się zgadza, wszedł w rytuał wach-

ty. Włodzia denerwuje kapitan, gdyż codziennie powtarza kilkakrotnie i bez specjalnej aluzji swe nieuniknione, zdawałoby się abstrakcyjne powiedzonko: *Słońce wschodzi i zachodzi*.

Kapitan Nietrzebka stoi nad brydżystami, pali fajkę. Obok — rzecz się dzieje w kabinie Włodzia — na łóżku siedzi Murzynka Lili. Jest głuchoniema. Patrzy na Jasia, ma oczy bez wyrazu. Lili jeździ z Włodziem, zaokrętował ją raz w Casablance i została na „Madondze”, ku oskocie całej załogi. Jest jedyną kobietą na statku. Ma sterzące, prowokująco obciśnięte sweterkiem piersi, fantastycznie toczące biodra, namiętne wargi, bez wyrazu oczy i rozplaszczony stopy. Stale chodzi w sandałach.

Sruba okrętowa drży, jej podudnianie jest czymś tak nieodzownym w kompozycji nastroju, że kiedy na chwilę milknie, wszyscy patrzą się po sobie w milczeniu, a potem wracają oczyma do trzymanyh w ręku kart.

Jasio myśli: Głuchoniema? Ale ciało fantastyczne. Głuchoniema, o rany. Ale też z drugiej strony to musi być nadzwyczajne: kobieta, która nic nie mówi, nigdy, ani na chwilę, nic, ale to dosłownie nic. Jednakże takie milczące pieśczęoty muszą być straszne: przyspieszone tłumione sapanie, orgazm — i cisza. Nie powie ona nic zwierzęcego, podniecającego, ale też nic niestosownego ani głupiego; w pieśczęotach te dwie rzeczy, a raczej ich możliwość zawsze mnie najwięcej peszyły. Pamiętam raz jak Yvonne w Marsylii chciała mi w nocy podsunąć pomysł do napisania wiersza o ciszy. I mówiła o tej ciszy, jak ją słyszy, czuje i obejmuje, jak cisza ją przenika — i właśnie przez to jej gadanie ciszy nie było. Gdzie teraz może być Yvonne? Pewnie już skończyła swą stomatologię. Yvonne... Ale ta Lili ma piersi, no, no. Jak gdyby miały wybuchnąć za chwilę. Szczęściarz ten Cebulski. Ale właściwie po co on gada te swe bzdury na rannej szychcie? Ma babę i może ją głaskać... och, jak ja bym ją pogłaskał...

I Jasio nagle źle gra, Tyczyński krzyczy na niego. Jasio patrzy nań zdziwiony, jeszcze nie rozumie o co chodzi grubasowi. Sprawa wkrótce się wyjaśnia. Kapitan sapie, nie lubi Jasia, patrzy na zegarek, potem na Lili, która z ruchu warg Tyczyńskiego i Jasia usiłuje zrozumieć o co chodziło. Sprawa się wyjaśnia: Włodzio i Bolek leżeli bez dwóch,

pomimo złego zagrania Jasia. Kucharz uśmiecha się zadowolony, część jednak uśmiechu zdaje się mówić: No, tak, leżą, *lecz mogli być bez trzech*. Z kontrą.

Kapitan myśli: Ten Tyczyński jest bezczelny. Znowu zamiesił ciasto na chleb, chleb sobie rośnie, grubas gra w karty, a ten czas liczy mu się za *owertajm*. To dobra posada, niech mnie szlag trafi, nikt nic na to nie poradzi, że ciasto musi rosnać cztery godziny. A ponieważ Tyczyński pracuje, kolacja będzie zimna i George naotwiera jakichś puszek i puszczonek. Brrr...

Możemy w porcie wziąć chleba na trzy dni, ale Tyczyński piorunuje, że chleb schnie, że po starym chlebie ma czkawkę, wiadomo: chce sam piec, bo te *owertajmy*. Cwany...

— Kapitanie — mówi nagle Tyczyński, nie podnosząc oczu znad stolika, rozdając karty i oczyma je licząc — jutro zrobię grochówkę.

Nietrzebka nie cierpi grochówki. Pyka nerwowo fajkę i syczy:

— Pan znowu ze mnie kpi?

— Nie kpię, niech skonam, ciągle zapominam co pan lubi, zawsze myślę grochówkę z fasolową.

Na samo słowo *fasolowa* kapitan uśmiecha się błogo. I mówi jakby szczerząc się z radości:

— Co? Zrobi pan? Fasolową? Ale trzeba namoczyć...

— Ta chiba, że namoczyć — mruczy Tyczyński. Tyczyński jest ze Lwowa. Grał w „Piekielku”. — Zrobię panu *minestrone*.

Kapitan macha ręką i wychodzi na pokład. Morze jest niebiesciutkie, nieprzyzwoicie spokojne i gładkie, nastaje wieczór. Nietrzebka oparł się o wentylator, z dołu dolatują fragmenty licytacji, wyciąga fajkę i systematycznie nabija ją kciukiem. Każdy marynarz hoduje w sercu tęsknotę za spokojnym — na ~~stępość~~ — życiem, za domem z ogródkiem, za spokojnym, bez zdarzeń życiem. Każdy o nim marzy, prawie nikt go nie ma. Najtrudniej jest zrozumieć — myśli Nietrzebka — kiedy trzeba odejść, kiedy skończyć. Słońce wschodzi i zachodzi.

Żona została w Polsce, z córkami. Posyła im paczki z różnych portów, ale to częściowo tylko uspakaja jego wyrzuty sumienia. Janek zginął w Powstaniu, zostały dwie córki, Zocha i Wanda. Dopiero co były małymi

dziewczynkami z warkoczami i wstążkami, tak je pamięta. Teraz Zocha ma dziecko, a Wanda kłopoty z mężem, chcą się rozejść. Często ogląda ich fotografie i śmiesznie dziwi się ich wzrostowi, ich figurze, ich wiekowi, potem sam w lustrze ogląda swą twarz, zamyślony gładzi zmarszczki. Tak, rodzicom zawsze się wydaje, że dzieci ciągle są małe. Trzeba będzie znowu coś posłać z Montpellier. Czeką go dziwne wzruszenie: sam zapakuje i zaadresuje paczki, sam je odniesie na pocztę, a potem samotność będzie jeszcze cięższa. I z nienawiścią myśli o „Madondzie”, na którą wróci po chybotzącym trapie, trzymając się liny, w kajucie wszystko będzie, *bo jest*, zawsze na swym miejscu, to niby kawał domu, to nawet cały dom, ale bije zeń nieprzychylność, obcość, skryta wrogość. Starzeję się — konstatuje. Cóż by to była za spokojna starość, coś by to był za dom z ogródkiem, gdyby musiał być sam, a czas niezajęty morzem i statkiem dusiłby go i męczył jak nadkwasota? *Słońce wschodzi i zachodzi.*

Przy kolacji wybuchła sprzeczka pomiędzy Cebulskim a Jasiem. Cebulski był jakiś podminowany, nieswój, nadąsany. Wreszcie przy deserze nie wytrzymał i powiedział z wyższością.

— Pan zdaje się za dużo łypie oczyma za moją Lili.

Jasio skrzywił się i nic nie odrzekł. Rozżłościło to Cebulskiego.

— No, co? Może pan nie łypie oczyma, co?

— Okiem najwyżej, nie oczyma — mruknął Jasio. — Jedno mam sztuczne, jak panu wiadomo.

Bolek Włodarz parsknął śmiechem:

— Daj mu spokój, Włodziu, czemu się czepiasz Jasia? Nie wolno mu patrzeć na Lili? To najwyżej komplement dla twego gustu, taki zachwył.

Kapitan przysłuchiwał się jednemu chem rozmowie, gawędził z Ramonem. Obserwował Jasia, pozwolił mu jako inteligentowi stołować się w oficerskiej messie, ten zapalił papierosa i kpiąco wytrzymywał wzrok Cebulskiego. Lili rozumiała widocznie, że o nią wybuchło zaognienie, trzepotała powiekami przestraszona i nerwowo przesuwiała nóż po obrusie, nie podnosiła głowy.

Nóż ten nagle wysunął się jej z ręki spływał po obrusie ku Jasiowi, wraz z nożem leciały talerze i szklanki, butelka wina chlapnęła i rozlała się, niektórzy przerażeni

już wstawali od stołu, każdy wzrokiem szukał kapitana, ten się zachwiał, złapał wreszcie za brzeg stołu, otworzył usta, by krzyknąć coś, lecz nikt go nie słyszał, gdyż wybuch ogłuszył wszystkich. Statek drgnął, kopnęło go znowu, podłoga uciekała spod nóg, walili się przez meble jeden na drugiego, straszliwe skrzypienie, dzwonki, wreszcie jeden po drugim windowali się w górę ku drzwiom, jakie znalazły się nagle nad nimi. Pierwszy wyskoczył Nietrzebka, o tę zwinność nikt by go nie posądził, ale nikt o tym nie myślał. Tłoczyli się, na górze ktoś wył, ktoś kłął, pchali się jeden przez drugiego.

— Mina!

Statek leżał na boku, drżał jak człowiek w febrze, znowu wybuchy, oślepiające błyski, odpryski ścian i sprzętów, ktoś przerolował się po nagle mokrym pokładzie i tyle go było widać. Krzyczał już z morza. O Lili zapomnieli, zemdląca, ciągnął ją za rękę Jasio. Wisiała w kabinie jak balast, zaparł się o drzwi i schwyciwszy jedną ręką za pręty poręczy, wyciągnął ją na powietrze. Wszystko to — od sekundy już — działo się w ciemności, w upiornej nocy. Zdyszane wołania, rozkazy, ktoś biegł, zaczepił o rękę Jasia, runął, zaklął, kopnął, Jasio ręki nie puścił. Wreszcie wyciągnął Lili. Czuł jej bezwład, poszukał rękoma twarzy, dotknął warg, na palce szedł mu jej ciepły oddech. Oparł się o zwój lin, nie mógł ustać na nogach, trzymał zemdloną dziewczynę, gdzieś w górze błysnęła latarka elektryczna, z morza bryzgnęło pianami, to spuszczano pierwszą szalupę: uderzyła dnem, wybijając z morza rozpryski słonej wody. Jakiś głos zawył nagle, pisał Morse w kabinie radiotelegrafisty, Jasia uderzyło coś w głowę, uderzenie było dziwne. Śledząc rękami po pręcie mostku, dotknął czegoś mokrego i lepkiego. Krew. Dalej było koło ratunkowe i sznury. Obwiązał sznurami Lili, wepchnął jej jedno ramię i głowę w otwór. Potworne, trupie było to milczenie, które udzieliło się wszystkim. Bulgotała tylko Lili, w ciszy następowały po sobie sekundy katastrofy i walki z własnym paraliżującym lękiem. Wreszcie huki, noc rzygnęła płomieniem, statek musiał się rozpaść, rozłamać, zasycała woda wdzierająca się do pustej przestrzeni luków, huczała gdzieś niedaleko jakaś syrena okrętowa, rozgwieżdżone niebo obróciło się jak spirala i tu pamięć Jasia się skończyła.

Statek Messageries Maritimes M.S. „Perpignan” płynący do Marsylii kręcił się jeszcze do rana, zawracał, świecił reflektorami na miejscu katastrofy „Madongi” kołował; rano słońce wstało znowu radosne. Uratowano jedynie troje rozbitków, resztę wchłonęło morze, na nowo urągająco spokojne i gładkie: drobne zmarszczki rozplływały się wokół, bryza była chwiejna i nikła.

— Dwóch mężczyzn i kobieta. Murzynka — raportował kapitanowi pierwszy oficer. Jakież to zwykłe i niezwykle: sztuczne oddychanie, opatrywanie ran, depesze w świat o katastrofie. Kapitan zerknął na pokład, gdzie wokół trzech ciał klęczeli zmoczeni marynarze. Skrzypiały liny wciągające szalupy, ktoś biegł po pokładzie, wśród pasażerów znalazł się ksiądz.

M.S. „Perpignan” przybił do mola. Czekali już tam dziennikarze, za chwilę tupanie ich biegło po trapie, zaraz potem rozbłysły *flashe* fotografów. Czekala karetka, ranni rozbitkowie uśmiechali się z wysiłkiem do sanitariuszy, nosze posuwały się w szpalerze policjantów, tłum zgęstniał. Trzaśnięcie drzwi ambulansu. Półmrok. Auto rusza.

II

Zamyślony konduktor nieobecny wzrokiem przeslizgnął się po stojących na asfalcie ludziach, z których nikt już nie wsiadał, więc pociągnął za linkę. Dzwonek jęknął w kabinie motorniczego i tramwaj zaraz ruszył. Auta, drzewa, domy, ludzie, afisze, trawniki, ludzie w odwrotnym kierunku, ludzie przed wystawami sklepów, auta, ludzie, wozy z meblami, mała ciężarówka z nowym wydaniem wieczornego dziennika, ambulans z ciemnymi szybami, koło szofera biała ubrana siostra szpitalna zagląda do torebki, lampy, ludzie, dzieci, domy, psy, wieczorna mgła.

Pani siedząca naprzeciw Jasia ma wąsy i pióra na kapełuszu, pan brodawkę na nosie i małą walizkę na kolanach. Z kieszeni młodzieńca wystaje książka. Staruszek rozgląda się niespokojnie: papierosa wsadził już do ust, dopiero teraz szuka rękami po kieszeniach zapalek. Nie znajduje ich; ręce nie natknęły się na pudełko, więc wzro-

kiem prosi palącego pasażera o ogień. Dziewczyny mają znużone oczy i startą szminkę na wargach. Nerwowym ruchem obciągają spódniczki wspinające się na biodra, poprawiają włosy, żadna jednak nie poprawi krzywo rysującego się szwu pończochy, opinającej łydkę. Nic tak Jasia nie denerwuje, ba, wprowadza niemal w szal, jak właśnie krzywo włożone pończochy. Cała linia nogi jest krzywa, niespokojna, odrażająca. Jak z odrażającej nogi mogą wyrastać toczone biodra, czyste i piękne w linii? Cały rysunek kobiety wywraca się, gmatwa przez te nie-dbale włożone pończochy. Jak w odrażającej nodze może zamrzeć w szczęściu pożądanie i pieszczota? Dysonans.

Kamienice z neonami. Biodra Yvonne. Pończochy. Ciało, różowe i śniade, pełne, nad rozciągniętym nylonem uchwyconym wysoko nad kolanem w sprzączkę. Nad pończochą już jest tylko ciało nóg, potem nogi łączą się w ciało ciała. Ludzie. Samochody. Ktoś kiwa ręką. Wokół bioder smuga cieni i światła. A ty, idąca, ruchem falistym bioder roztrącasz świat. Wenus-Yvonne, Yvonne-Wenus. Neony. Konduktor. Ruch jego ręki ku lince. Dzwonek. Śmiech dziewczyny, wszystkie oczy jej szukają. Patrzą blado, patrzą z wyrzutem, patrzą z zazdrością.

Sąsiadowi burczy w brzuchu. Wstydzi się tego i przeprasza niemym wzrokiem. Spod ławki wystaje noga. Skarpetka. Dziura. Konduktor przebiera palcami w skórzanej torbie pełnej drobnych monet. Ziewa. Obcas ma ścięte, żółte półbuty z długimi szpicami. Na podłodze leżą niedopałki, niepotrzebne pomięte bilety, różnokolorowe świstki. Konduktorowi rosną w uszach włoski, siwe i niesforne, w nosie ma czarne i proste, duży niewygolony podbródek z czerwonymi pryszczkami. Nachyla się, ażeby starej damulce podać kilka franków reszty. Uśmiecha się, uśmiecha się, sam może nawet o tym nie wie. Tramwaj. Miasto. Życie, nie do rozplątania węzeł.

Jasio wraca z wizyty w szpitalu, wraca do marynarckiego schroniska. Pierwsze zainteresowanie ludzi Jasiem i katastrofą przeszło, podziw i współczucie ustąpiły miejsca obojętności. Szwedzki pastor czasem jeszcze zagada do Jasia, częstuje go papierosem, lecz gdy rozmowa schodzi na Lili — co z nią dalej zrobić? — pastor jest jak gdyby zawstydzony. Opiekuje się marynarzami, najchętniej Szwedami, innymi też, o ile prawo do kakao i ciastek oraz do

zapomogi okupią obecnością na wieczornym śpiewaniu psalmów.

Co z nią dalej? Co z nią dalej? Był właśnie u niej w szpitalu, za kilka dni wypiszą ją z listy chorych. Przy-
niósł jej wiązkę kwiatów, zerwał je w ogrodzie schroniska
kiedy stróż Coutet poczłapał na górę, wyrwany ze swej
łóży dzwonkiem od pastora. Uśmiechała się smutno,
z wdzięcznością. Pisał jej na kartce krótkie zdania, dobrze
pojęła wydarzenia od kolacji na „Madondze”. Płakała,
ile razy przychodził, potem zmuszała się do uśmiechu,
oparty o lakierowaną ścianę sali pisał jej ołówkiem słowa
i zdania, ona nachylała się potem nad skrawkiem papieru,
czytała pilnie, kiwała głową, że rozumie.

Cóż go mogła obchodzić Lili? Zimno, bez większych
wyrzutów sumienia rzucał tyle kobiet, które w jego życiu
coś znaczyły, którym winien był wdzięczność, uczciwość.
Rzucał i szedł dalej. Czasem wracały wspomnienia, jakieś
blade, niezupełnie wyświetlone, ale życie i inne kobiety
absorbowały go na nowo. Włóczęga. Jasio.

Z dwiema osobami rozmawiał na temat Lili. Jedną była
Yvonne, odszukał ją w Marsylii, drugą był stróż Coutet.

Yvonne przyjęła go radośnie.

— Widziałam twe zdjęcie w gazetach. Jesteś bohate-
rem, uratowałaś tę Murzynkę. Pisano o tobie, nawet
mój ojciec się zainteresował, może trochę wzruszył. A ten
wasz kucharz? Będzie żył? Inny statek wyłowił waszego
pierwszego oficera, jest w Montpellier. *Quel drame...*

Napisał do Montpellier do Cebulskiego. Włódzio po ty-
godniu odpisał parę słów, że ma złamaną nogę i że stryj
zabiera go do Paryża. Dla Lili przesłał kilka tysięcy fran-
ków. Nic więcej o niej nie wspominał. Na ponowny list
z wyraźniejszym zapytaniem o los Lili odpowiedź nie
przyszła. Yvonne dzwoniła do Montpellier, lecz po długim
czekaniu zakomunikowano jej, że Mr. Sebiński wyjechał
już, że go zabrano.

Co z nią dalej? Co z nią dalej? Myśl ta wraca uporczy-
wie jak motyw w wariacji, nadchodzi Jasia, obłapia go,
przypiera do ściany.

Zielone światła. Tramwaj rusza. Konduktor nachylił się
do starszego pana z walizeczką na kolanach, dotknął jego
ramienia i szepnął zapewne, że na następnym przystanku
ma wysiąść. Mężczyzna skłonił głowę z podziękowaniem.

Tramwaj opustoszał, w przednim przedziale chichotały jakieś dziewczyny z marynarzami, podmiejskie niskie domki, tramwaj pnie się pod górę. Zaraz trzeba wysiadać.

Coutet czatował na Jasia.

— *Alors, monsieur Jean, y a rien de nouveau?*

Zaprosił go do swej portierni, wyciągnął wino. Z góry dochodziły śpiewy. Psalmi.

— Nie wybiera się pan tam?

Jasio zaprzeczył ruchem głowy.

— *Qui, je comprends*, rozumiem pana dobrze, już mi bokiem wychodzi to śpiewanie kantyczek. No, cóż? Chłopcy wynudzą się, stary jest zadowolony, potem sam rozlewa kakao i rozdaje biskwity. Lubi pan kakao?

Jasio zaprzeczył znowu ruchem głowy.

— Brr, to świństwo, *ça c'est bon pour les gosses*, dla dzieci owszem, ale dla starych koniów? *Merde*.

— *Monsieur Coutet*, potrzebuję pokoju dla Lili — zaczął Jasio. — Nie zna pan tu kogo? A co z tą pracą, o którą obiecał pan się spytać?

Wzruszenie ojca Yvonne wyraziło się w kilkunastu tysiącach franków i w klepaniu Jasia po ramionach. Z początku nie chciał pieniędzy przyjąć, ale bardzo nie protestował. Przypomniawszy sobie, jak w Oranie żył kilka dni w burdelu, stawiał kabałę i wróżył z ręki pensjonariuszkom Madame Raymonde; miał forszę, baby, opierunek, jedzenie i picie za darmo. Skrzywił się teraz na to wspomnienie, jakby rozgryzł pieprz. Potem wystarano mu się o jakieś papiery i żegnany przez cały personel burdelu odjechał do Francji. W kieszeni miał pieniądze, dała mu je Lolita. Fajna była ta siksa — klasyfikuje teraz całą sprawę.

— Ah, *oui*, będzie *boulot*. Obiecał mi ten grubas Marchioni, że weźmie pana na próbę.

— Co to za robota?

— Ah, *vous savez*, nie jest to stanowisko dyrektora w biurze, panie Jasiu. Będzie pan z szoferem rozwoził lemoniadę, piwo i wody mineralne, skrzynki, *vous comprenez?* Z ciężarówki do piwnic kafejek i hoteli, potem puste zebrać, przeliczyć i hyc na platformę. To wszystko, *c'est pas compliqué, hein?*

Pili, Coutet po winie usta wycierał zarośniętą ręką.

— Z panem można sobie przynajmniej pogadać, bo z tymi Szwedami i innymi Skandynawami to ani w ząb. *Vous, on voit tout de suite que vous êtes différent*, zaraz to się widzi, że pan jest inny, że ma pan dobre maniery. A co, ożeni się pan z tą Lili?

— Ożeni? — Jasio po raz pierwszy od wielu dni parsknął śmiechem. — Zwariował pan?

— No, to co pan tak sobie nią głowę zawraca? — dziwił się portier.

Jasio przestał się śmiać.

— Nawet z nią nie spałem, nic dla mnie nie znaczy, ale coś trzeba z nią zrobić? Głuchoniema, rozumie pan? Nikogo tu nie ma! *Personne!*

— *Oui, oui* — bąkał Coutet — pan mi opowiadał, to rzeczywiście jest *bien emmerdant*. Aha, byłbym zapomniał: dzwoniła pani Yvonne. Prosiła, by pan zatelefonował natychmiast jak tylko pan wróci.

Z mieszkania notariusza Lamica odpowiedziała Yvonne:

— Ach to ty? Czekałam na ciebie. No, dobrze, nie tłumacz się, w porządku. Zaraz po ciebie przyjadę.

Spojrzał na zegarek. Było po dziewiątej. Zdziwił się trochę, czego ona chce; było już dość późno. Odrzekł, że na nią czeka.

Nie wchodził już na górę, został u Couteta. Pili wino, przypominał mu o pokoju dla Lili.

— A jest pokój u Marchioniego dla pana, mówiłem, że ma pan narzeczoną, że ona wychodzi ze szpitala. Opowiedziałem mu wszystko o katastrofie, stary oszust się wzruszył, trochę się krzywił, że czarna, ale ostatecznie da wam ten pokój. Nawet był zadowolony. Ludzie lubią pokazywać, że nie mają uprzedzeń i przesądów, to gównie prawda, ale lubią okazywać, że nie mają. *C'est comme ça!*

Yvonne poprosiła go do samochodu. Była w białej letniej sukience, opalona i roześmiana, dłonie w rękawiczkach ujęły kierownicę, Delahaye ruszył.

— Znowu piłeś? — spytała. — Jedzie od ciebie winem.

— Tak, piłem z konsjerżem. Dziś są moje imieniny — zachnął się. — Prosiłem go, aby znalazł pokój dla Lili.

— Wiem, że twoje imieniny. Pamiętam, dlatego telefonowałam, dlatego przyjechałam.

Milczał. Obserwował ją. Nie odwróciła się od kierow-
nicy, wzrok jej śledził wycinek drogi oświetlony reflektora-
mi. Przez jej twarz przebiegł uśmiech, uśmiech nie znika,
wiedziała, iż patrzy na nią.

— Pamiętasz twe imieniny dwa lata temu? — spytała.

— Pamiętam — mruknął.

Byli wtedy na spacerze. Rano przyniósł jej kwiaty, które ukradł z cmentarza. Był w białej koszuli, co noc ją prał i suszył, nie miał innej. Krawat pożyczył od kolegi. Na spacerze tłumaczył jej, iż w Polsce obchodzi się imieniny, urodziny nie mają większego znaczenia, przypominają przecież, że człowiek się starzeje. Za to imieniny — to najładniejszy dzień w roku, najbardziej intymny. Bardzo to jej się wszystko podobało. Wieczorem przyszła do niego, a później, gdy ją trzymał w ramionach i gładził jej włosy, przyznał się szorstko, że posiada tylko jedną koszulę, że co noc ją sam pierze.

— I takiemu nędzarzowi się oddałaś — zaszydził.

Milczała, a potem mruknęła:

— To właśnie oryginalne, *c'est chouette*, zresztą wiem, kim byłeś i kim możesz być. Głuptas z ciebie. Lepiej mnie całuj, po co niemądre rzeczy gadać?

Zatrąbiła. Jakiś staruszek przebiegał ulicę, zahamowała. Na skrzyżowaniu zabłyśły czerwone światła.

— Jedziemy do nas do domu, ojciec chce cię zobaczyć. Ma dla ciebie pracę.

— Już znalazłem.

— No, jaką? — pytała zaintrygowana.

— Rozwoziciela lemoniad i wód mineralnych. Perrier i Vichy, Badoit i Vittelaise, Vals les Bains...

— No i jaką jeszcze wodę będziesz rozwoził? — ironizowała

— Znalazłem również pokój dla Lili...

— Ach, ciągle ta Lili i Lili. Czy to twoja kochanka?

— Nie.

— No to więc? Bardzo ładnie, że się nią przejmujesz, ale czemu ta nieznajoma Murzynka ma ci absorbować całe życie?

— Nie wiem — mruknął niechętnie.

— Patrz, nawet ten Sebilski umył ręce.

— Cebulski okazał się świnią...

— A mnie nie rzuciłeś? Nie zdradziłeś?

— Ach, to było co innego... Kochałem jednak ciebie, ja tylko nie umiem być wierny, o co ci chodzi? Wyrzuty? Nie potrzebowałaś mnie tak jak Lili. Wiązało mnie z tobą życie i użycie, z nią oddech śmierci.

Siedziała nadąsana. Na schodach ich kamienicy powiedziała mu:

— Ojciec przygotował dla ciebie niespodziankę, przyjmij ten prezent od niego, odmową uraziłbyś go śmiertelnie. Wiesz dobrze: mój stary to mieszczuch, ale ma dobre serce.

Prezenterem była walizka z bielizną, butami i przyborami toaletowymi, na krześle leżało nowe ubranie. Jasio zbłądł. Obracał trochę głowę, by zdrowym okiem dojrzeć Yvonne — była zarumieniona. Widać było, że sama to wszystko kupowała, że sama wybierała w sklepach.

— Gdzie ojciec? — spytał sucho, ciągle błądy.

— Wyszedł, miał coś pilnego, ktoś go wzywał.

— Dziękuję ci, Yvonne — szepnął — ale ja tego nie mogę przyjąć.

— Musisz!

— Nie mogę — szeptał — zrozum.

— To cię nie znam więcej — uniosła się.

Popatrzył w nią, uśmiechnął się smutno, uklonił się i ruszył ku drzwiom. Zabiegła mu drogę i objęła go ramionami.

— Jasiu, *Jeanot*, przecież widzisz, że cię kocham. Nie wychodź, nie wychodź, proszę cię, zostań!

Owionął go zapach jej perfum. Była teraz nieszczęśliwa, ukarana, jeszcze w jej oczach pełzał strach, że odejdzie. Ale już wiedziała, że zostanie. Całowała go, tuliła się do jego piersi, wreszcie on ją objął i tak przez moment stali spleceni, czując przepływające z ciała do ciała ciepło, szybkie, pospieszne uderzenia serc. Na ulicy dzwoniły tramwaje, na wyższym piętrze grało radio. Yvonne zerkała w górę ku jego twarzy, potem położyła mu głowę na ramieniu i cicho westchnęła.

— Pójdziemy tańczyć i pić, dziś twoje imieniny. Musisz mnie słuchać — udawała nie znośzącą sprzeciwów.

Usiadła na tapczanie i zapaliła papierosa. Czekwała na jego powrót z łazienki. Kiedy wyszedł w nowym ubraniu i pachnący wodą kolońską, spuściła oczy. Potem obcho-dziła go naokoło, promieniała zadowoleniem, była to duma

kobiety ze swego mężczyzny. Poprawiła mu krawat, inaczej ułożyła chusteczkę w kieszonce marynarki, objęła go i pocałowała w usta.

— Czy chcesz iść tańczyć? — spytała przekornie. — Bo mnie się już odechciało. Ojca nie ma, nikogo nie ma, chcę być z tobą.

III

W południe pojechali razem do szpitala. Yvonne ubrała się starannie i długo stała przed lustrem, natłuściła twarz kremem, co chwilę błyskała do niego uśmiechem, nie krępowała się jego obecnością, malowała brwi i rzęsy. On siedział przy niej, jeszcze kredka na usta, wyciągała starannie linię warg, potem w szafie dobierała stosowną torebkę, przymierzała pasek, którą mam włożyć apaszkę? — pytała.

On wprawdzie milczał, ale ona i tak nie czekała na odpowiedź. Wybrała żółtą w duże kwiaty. Żółta torebka, żółty pasek, żółte pantofle. Naciągnęła pończochy, wygładziła rękami łydki obu nóg, skrzyła się, by zobaczyć czy szwy pończoch biegną równo, uśmiechnęła się znowu do Jasia, знаła tę jego słabość. Była piękna i młoda, skromna letnia sukienka podkreślała jej figurę, obnażała szyję i pełne ramiona. Jeszcze bolerko — szepnęła — muszę zakryć ślady twych pocałunków na ramionach. No, już idziemy.

Kupiła kwiaty, cukierki, jakieś ilustrowane pisma, czekał na nią koło samochodu. Milczał, znowu był nieswój, miał tremę przed tą wizytą.

— Bardzo jestem ciekawa twej Murzynki. Na zdjęciach wygląda na ładną — swiergotała siadając do Delahaye o czerwonych skórzanych obiciach.

Lili błysnęła radosnym spojrzeniem, kiedy zakonnica wprowadziła Jasia do jej separatki. Lecz radość zaraz przygasła, dostrzegła bowiem idącą za nim Yvonne. Yvonne też była zgaszona, głos ściszyła do szeptu, choć przedtem w czasie drogi nie zamykały się jej usta.

— To moja znajoma — mówił wolno Jasio. Chciał to napisać, ale Lili kiwnęła głową, że z ruchu warg rozumie.

Trzymając w ręku notes i ołówek podprowadził Yvonne do łóżka. Kawowe ręce Lili leżały na białej pościeli, uśmiechnęła się uprzejmie, kiwnęła głową, ale ręki nie podniosła na powitanie. Dopiero, kiedy dostrzegła zniecierpliwienie w twarzy Jasia, szybko, jak skarcona, podała dłoń zakłopotanej dziewczynie, stojącej z wyciągniętą ręką.

Zażenowanym spojrzeniem dziękowała za kwiaty i paczki, jakie na narzucie składała Yvonne, przez moment tylko zerknęła na puste tym razem ręce Jasia, lecz zaraz na twarz przywołała uprzejmy uśmiech. W oczach tylko tlił się smutek.

— Jutro rano przyjadę do ciebie — pisał — pojutrze już wychodzisz.

Skinęła głową znad kartki trzymanej w ręce, ale twarzy nie podniosła ku nim. Udawała, że znowu czyta. Yvonne strzeliła szybkim spojrzeniem ku Jasiowi i zaraz z udanym zainteresowaniem jęła oglądać pokój. Jasio usiadł przy Lili i znowu coś jej pisał. Yvonne wyszła, ażeby poprosić o wodę, chciała wstawić kwiaty. Przyniosła jakiś słoik, widziała radość Murzynki, że nie stawia tych kwiatów z wczorajszymi od Jasia. Smutno zakłuło serce Yvonne, zrozumiała, że Murzynka kocha Jasia. Miłość i wdzięczność razem — pomyślała — to nie skończy się byle jak. Biedna dziewczyna. Muszę jej przesłać rano trochę bielizny i jakąś sukienkę, nie wiadomo, czy ma w ogóle co włożyć na siebie.

Kto to jest Lili? — usiłowała odgadnąć. Z tego co wie od Jasia, Murzynkę wziął z jakiegoś domu schadzek Cebulski. Poza tym nikt nic o niej nie wie. Nie wygląda na prostytutkę, ma smutne i czyste wejrzenie, jakie spotyka się tylko u kobiet nieszczęśliwych. Jasio opowiadał jej o Cebulskim, o jego przechwałkach. Teraz widzi, że to kobieta nieszczęśliwa i prosta. Może jakaś sierota z zakładu? Może ją rodzina po prostu sprzedawała do nierządu? Umie pisać, charakter pisma ma wyrobiony, zakres jej słów świadczy o kilku klasach liceum, jakaż to straszna sprawa i zagadka: głuchoniema. Nigdy nic o sobie nie może powiedzieć. Nigdy nie wybuchną w niej zwierzenia, bo zawsze zdania przelewane na papier opóźniają i zmrożą te uczucia i słowa, jakie w rozmowie byłyby czymś intymnym i bezpośrednim. W twarzy Murzynki jest rezygnacja i poddanie się kalectwu. Życie bez radości, skazanie na

ciszę i milczenie, bez kontaktu z innymi ludźmi, bez rozmowy, bez piosenki i muzyki, z życia dochodzą w nią tylko sprawy zewnętrzne, powierzchnia tylko, pod którą gubi się cała reszta. Mój Boże — zastanawia się Yvonne — ja bym oszalała, gdyby mnie skazano na wieczną głuchotę i wieczne milczenie. Patrzy ze szczerą życzliwością w oczy Lili, ale ta znowu cofa wzrok, zakrywa go powiekami.

— Jest pewnie zmęczona — mówi Jasio. — A więc do jutra!

— *Au revoir, mademoiselle* — podaje jej rękę Yvonne — proszę być dobrej myśli. *A bientôt!*

Skupione wejrzenie Murzynki przenika ją na wylot. Lili lęka się o Jasia, jej oczy krzyczą: zabierzesz mi go? Już go zabrałaś? Czy ty go przynajmniej kochasz?

Yvonne wolno schodzi do ogrodu. Jasio postępuje za nią, coś mówi, aha, przepasza, musi się zatrzymać w kancelarii. Formalności, omówić jutrzejsze wypisanie Lili ze szpitala. Yvonne przystaje, w drzwiach mijają ją ludzie, zajeżdża auto, podbiegają do samochodu posługacze z noszami.

— Teraz pójdziemy do waszego kucharza — mówi cicho do Jasia, kiedy nadszedł.

Tyczyński cieszy się z wizyty, jest jowialny i klnie, przepasza Yvonne za swój język. Leży w gipsie spocony, gruby, pełen życia. Yvonne wie, że stracił pasierba na „Madondze”, podziwia jego wesołość i rubasność.

— Poleżę tu jeszcze kilka tygodni — huczy basem Tyczyński — trzy żebra złamane. Czy są jakieś wieści od Cebulskiego? *Quel salaud* — syczy do Yvonne — nawet słowem się nie odezwał, nawet nie spytał o Lili. Nie lubiłem gogusia. Uciekł, co? — Tyczyński piorunuje, że już dawno nie był przez tyle dni bez jednej kropli alkoholu. Straciłem moją gitarę. O George'u nie wspomina, wszystkie oszczędności diabli wzięli, musi pan, panie Jasiu rozglądać się za odszkodowaniem, przecież coś się nam należy. Niech i pan napisze do Hrabiego. Po raz czwarty w życiu zostałem tylko z chusteczką w kieszeni. I mam jeszcze jedną rzecz: klucze od lodówek na „Madondze”, *merde*.

Yvonne się uśmiecha, ten mówi i słyszy, tego człowieka nic nie złamie. W czym jego siła? W rubasności i w zwierzęcym niemal cieszeniu się życiem? Klnąc i piorunu-

jąc na wszystko i wszystkich zacznie na nowo, a cokolwiek przedsięwzięmie, można być pewnym, że z uporem i z siłą. Tyczyński wzdycha.

— Ale szkoda kapitana, kutwa, bo kutwa, lecz swój chłop. Nie chciał opuścić statku, kochany dureń, fason trzymał... Ale wtedy, panie Jasiu, zagrał pan jak bęćwał, mogli leżeć bez trzech... Cholera, słońce wschodzi i zachodzi, już mu nie wszędzie więcej.

— A gdyby tak ją oddać do jakiegoś instytutu dla głuchoniemych? — wypowiada głośno swą myśl Yvonne, kiedy już siedzą w aucie — ojciec mógłby to załatwić.

Jasio milczy. Nieraz sam o tym myślał, nieraz dochodził do wniosku, że to rozwiązanie byłoby najlepsze. Ale natychmiast kłębił się w nim protest na ten projekt, zawsze czuł niesmak, czczość po tej myśli. Pamięta smugę jej ciepłego oddechu na palcach, szukających jej twarzy w noc katastrofy, widzi jej oczy pełne łez, wdzięczności i zaufania, smutny uśmiech czarnej twarzy. Tyle razy już w życiu był świnią, tyle razy brał bez skrupułów z życia to co mu podsuwało, był egoistą, wzrasta w nim potrzeba poświęcenia, jakaś dziwna, niezrozumiała potrzeba, głód, nakaz, kiwa głową przecząco na słowa Yvonne.

— Może jej być zupełnie dobrze w jakimś przytułku, *Jeanot* — zajmą się nią ludzie wykwalifikowani.

Jasio widzi już ją w jakimś klasztornym przytułku, będzie wypłacać koszyki, nauczą jej jakiegoś rzemiosła. Będzie przydatna społeczeństwu. Będzie może robić jakieś zabawki dla dzieci?

— Zastanów się — mówi chłodno Yvonne — będziesz sobie życie komplikował, a może nawet łamał przez nieznaną Murzynkę? Trzeba by wszcząć poszukiwania, może Lili ma jakąś rodzinę w Afryce? Przecież nawet nie jest twoją kochanką.

Tak. Nie jest kochanką. A gdyby była kochanką, zaraz byłby ludzki pretekst do zajęcia się losem Lili, wtedy już by rozumiano jego upór? Czy spanie z kobietą jest jakimś punktem zwrotnym? I kto to mówi, Yvonne, która też z niejednym spała? Czy w życiu istnieje tylko łóżko i użycie? Jasio milczy, patrzy apatycznie na Yvonne, na jej szyję i włosy, na jej profil i białe jak nugat zęby, dziewczyna uśmiecha się, oboje myślą o poprzedniej nocy, gorący rumieniec zalewa Yvonne, przyjmowała go w siebie bez

żądzy, a w ekstazie i w milczeniu, związywała go z sobą ramionami na zawsze. Yvonne rozchyła wargi, chce coś powiedzieć, ale się wstrzymuje.

IV

Pokój u Marchioniego, gdzie się wprowadzili, był nawet dość schludny i miły. Okna wychodziły na brudne podwórze, zastawione skrzynkami po butelkach i zaśmieczone wiechciami słomy, w jakie pakuje się wodę mineralną. Lecz w górze zieleniła się kopica liści kasztana. Sprzęty były ubogie, szerokie łóżko, trzy krzesła, jakaś stara komoda z niedomykającą się dolną szufladą, firanki na oknach wypłowiałe i pocerowane. Coutet przyniósł tu ze schroniska walizki Jasia i czekał, a kiedy taksówka zajęchała przed fabryczkę Marchioniego, wyszedł z bukietem kwiatów na spotkanie Lili i Jasia. Był podniecony, cieszył się za nich. Podał rękę Lili i wziął od niej zawiniątko, pokazywał drogę, za chwilę przyszedł Marchioni, uśmiechał się, kłaniał, pomagał.

— *Alors vous commencez cet après-midi, Monsieur Jean?* — przypomniawszy grubas na odchodne. — Zaczyna pan popołudniu, rozumie pan, mnóstwo zamówień na ten upał. Ludzie mają pragnienie.

Coutet jeszcze chwilę gadał, ale i on poszedł do siebie. Jasio pokazywał Lili kuchenkę gazową we wnęce, kupił dwa garnki i czajnik, jakieś filiżanki i talerze w Monoprix, nawet siatkę na sprawunki. Zaraz wyjechali tramwajem do miasta, trzeba było tyle jeszcze rzeczy kupić, nie mieli nic. I coś do zjedzenia i bieliznę dla Lili, jakąś sukienkę, pakunek od Yvonne nie zawierał wiele i były to suknie zbyt eleganckie, nie na co dzień. Lili poprosiła uśmiechem, ażeby kupił materiał przy którym stanęła biało-czerwone kratki. Zdziwił się na co, ale kupił. Pokazała na palcach ile metrów. Szybko wrócili obładowani paczkami, o drugiej Jasio przebrał się w niebieski kombi-nezon, kiwnął Lili ręką i zeszedł do fabryczki.

Mył flaszki, potem wstawiał je dnem do góry w stojaki, by ociekły, flaszek potrzebowano ciągle więcej niż ich było.

Za nim syczała maszyna kapslująca lemoniadę, jakiś Ormianin sprawdzał ciśnienie w manometrach, butelki dość często się kruszyły, gdy nabijano na nie kapsle, szkło pryskało sycząc zduszonym traskiem.

— Nauczy się pan i tego — informował Jasia Marchioni. Sam pomagał mu w sortowaniu flaszek. Jasio poznał czterech jego robotników, byli mokrzy od wody i od potu. Dwa razy zajechał na podwórze samochód Marchioniego, szofer Louis musiał już coś słyszeć o Jasiu, bo poklepał go po ramieniu i zapewnił, że też kiedyś pływał. Był gruby, sympatyczny, uczył Jasia jak skrzynie ustawiać na platformie, by weszło ich dużo, ale żeby nie pospadały. Jasio zaglądał w okna na piętrze, ale nie bardzo wiedział, które są z ich pokoju. O ósmej Marchioni wezwał go do swego kantorku.

— No na dziś wystarczy. Jak panu idzie?

— *Pas mal* — odparł Jasio.

— Chce pan zaliczkę?

— Nie, dziękuję. Mam jeszcze trochę forsy.

— Tam pańska Lili już coś gotuje na kolację — zdradzał jak wielki sekret — no, smacznego, do jutra, pewnie pan zmęczony, ale wciągnie się pan do tej roboty.

Z materiału w biało-czerwone kratki Lili uszyła nowe firanki. Pokój był teraz jakiś czystszy, przytulniejszy. Lili była w nowej, taniutkiej sukience i w fartuchu też z tego materiału co firanki. Na stole był mały obrus, stały talerze i wino, na maszynce syczała patelnia, przykryta talerzem, w szklance tkwiły kwiatki, za oknem był skwarny wieczór. Jasio stanął w progu, ogarnął cały pokój wzrokiem i uśmiechnął się do Lili. Po raz pierwszy od lat miał dom. Było tu cicho, jakieś ciepłe wzruszenie ścisnęło mu serce, zawstydził się trochę tego uczucia, Lili wejrzenie było czujne, a każdy gest usługny. Zauważyła, że ucieszył się firankami i wyglądem pokoju, podawała befszytk, krajała chleb dla niego, podsuwała sałatę, nalewała wino.

Wkrótce przyszedł Coutet. Oczywiście z butelką wina. Przepijali, palili papierosy, gawędzili, Lili siedziała koło okna i coś szyła, na kolanach układał się płat kretonu. Mieli rozpięte koszule, gwarzyli, ona zaparzyła im kawy. Późnym wieczorem wyszli na spacer, usiedli na tarasie małej kawiarni, wiało trochę piaskiem, nadchodził mistral.

Coutet niebawem ich pożegnał. Potem wstali, Jasio za-

płacił, chwilę szedł obok niej, ujął ją pod rękę. Przytuliła się do niego, czuł wzdłuż ciała falisty ruch jej bioder, milczenie jej nie było teraz oddzielające. Zapalił małą lampkę, pokój okrył półmrok, Jasio wyszedł na papierosa, aby zebrać myśli, wirujące mu w głowie, nie mógł ich uporządkować, nie umiał ich rozdzielić, ułożyć. Jedno pewne, że ogarnął go spokój i cisza. Więc życie może być i takie? — dziwił się. Ma kogoś bliskiego przy sobie, nie tak jak dotychczas: obcy, przelotni znajomi, kobiety, mężczyźni, obcy. Cisza. I już zniknęła samotność. Wypalił dwa papierosy na ganku, kiedy zaś wrócił Lili była już w łóżku. W milczeniu rozebrał się i położył obok niej. Podał jej papierosa i sam zapalił nowego. Oboje patrzyli w sufit, pod którym snuły się wstążki dymu, wreszcie Jasio pogłaskał ją po twarzy, odwrócił się i zgasił światło. Długo nie mógł zasnąć, czuł na szyi jej ciepły oddech, wreszcie zmęczenie pchnęło go w otchłań snu.

Rano zbudziło go dotknięcie. Lili kiwnęła mu głową na dzień dobry, pokazała na zegarek, że dochodzi siódma. Dzień już był jasny, w pokoju pachniało kawą, Lili stała przy maszynce i gotowała śniadanie. Podała mu zagrzaną w kubku wodę i na migi pokazała, że to dla niego, do golenia. Wstał, mydląc się, w małym lusterku szukał jej wzrokiem. Była spokojna i radosna, ciągle jednak w niej czaił się lęk. Napisał na kartce, że przyjdzie na obiad. „Wyjdź tylko coś kupić, odpoczywaj, popołudniu idź sobie do kina, o ile chcesz. Dziś Marchioni zapowiedział, że wieczorem wrócę później, mamy dużo skrzyń do rozwiezienia”. Uśmiechnęła się, czytając. Odebrał jej kartkę i dopisał: „A potem pójdziemy gdzieś potańczyć, o ile się dobrze czujesz”. Ucieszyła się, kiwała głową, że czuje się dobrze, że będzie czekać na powrót.

W południe przyniósł jej lemoniady oraz kilka pism. Szybko sam umył talerze, a jej kazał siedzieć na krześle koło okna. Na drugim krześle położył dla niej swe ciemne okulary, papierosy i pisma. „Odpoczywaj” — napisał. Znowu rozchyliła usta w uśmiechu: czerwone krwiste wargi, białe zęby.

Do późnego wieczora jeździł z Louisem starą ciężarówką po całym *quartier*. Louis przedstawiał go właścicielom i kelnerom, znosili obaj skrzynie do piwnic, liczyli puste flaszki, Jasio zapisywał w notesie zamówienia na następny

dzień. Nazajutrz była sobota, trzeba było zaopatrzyć klientów na dwa dni. Louis był gadatliwy, Jasiowi tłumaczył, dlaczego musi być taki: ile się bracie, nie nagadasz, zanim kretynowi nie wtrynisz skrzyni lemoniady, czy cidre'u. A zarobek na tym mały, na lemoniadzie to nienajgorszy procent odpala stary, ale na tych wodach mineralnych mało się zarabia. Stary bierze je od hurtownika, zysk jest nie-duży, ale klientowi trzeba dać, gdy żąda, kłopot tylko z tym, najlepszy zarobek jest na piwie i lemoniadzie. Lemoniadę sami robimy, piwo rozlewamy z beczek, cała heca, przynajmniej sam napijesz się przy tym sporo.

Obdrapane kafejki, jakieś małe restauracje, dwie prywatne kliniki (tu piwa nie biorą, tylko Vichy i Vittel), znowu jakieś marokańskie pełne much knajpki. Tu jest monsieur Jean, tam monsieur Valentin, gdzie indziej Lopez, a tam znowu Sidi ben Barek, koło tunelu w małej czerwonej *épicerie* madame Loulou, nawet wśród klientów mamy aptekę i burdel — z dumą wyjaśnia Louis. Tu trzy skrzynie piwa, po trzydzieści butelek, tam ćwiartki Vichy, ale tylko Celestins, nie chcą innej, tu pękate duże fiaszki Perrier, zakurzone i okręcone słomą, u madame Ricard na jutro chcą piętnaście skrzyń towaru, zapisz Jeanot. No, wypijemy jednego? Trzeba z nimi dobrze żyć, trzeba i im dać zarobić. W aptece należy grzecznie pogadać, u Martina mają prawdziwy pastis, u Sidiego jest pierwszoklasny armagnac. Staremu Robertowi trzeba opowiedzieć o żonie, tak, to zdaje się rak, wszyscy smutnieją i Robert ze współczuciem nalewa jeszcze jedną kolejkę. To na mój rachunek — wyjaśnia, żeby nie było wątpliwości. Louis protestuje, ale nie obstaje przy tym. *C'est sera pour une autre fois*. Tak, innym razem ja postawię. Na ulicy Belleville zator, ktoś trącił ciężarówkę rzeźnika, szoferzy obrzucają się wyzwiskami, u madame Linette trzeba zaczekać, wyszła, córka nie wie ile przydałoby się wody, ile piwa, ale czegoś na pewno brak. Czekają. Madame Linette przychodzi wreszcie, z satysfakcją patrzy, że wypili już cztery kolejki, tyle spodków leży koło Jasia, ale przeprasza, że nic nie weźmie: mam jeszcze mnóstwo w piwnicy. Jasio płaci, a Louis za progiem spluwa: *merde*, biorą u konkurencji, nie chcą u nas.

Jest już późno. Ale trzeba jeszcze raz wracać, jeszcze jedno ładowanie platformy i jeszcze jeden objazd. Jest już

półmrok, Marchioni daje Jasiowi kartkę z adresami. Telefonowano, trzeba jeszcze dziś dowiedzieć koniecznie. Jasio, ładując skrzynie, które mu podają Louis i Marchioni zagląda do okna. Już wie które, lecz nie widać w nim Lili. Gwizdże i woła, ale wnet uprzytomnił sobie, że ona przecież i tak nie słyszy. Spojrzenia Marchioniego i szofera są jakieś zawstydzone, słyszeli to jego wołanie, rozumieją. Jest im przykro, podają szybciej skrzynki. Kiedy wrócili, było już po jedenastej. Louis zostawił auto na ulicy, nie chciał wprowadzać do sieni, by nie budzić mieszkańców. Jest parna noc, Louis proponuje *un coup* naprzeciwno w kafejce. Jasio jest zniecierpliwiony, ale nie wypada odmówić. W głowie mu trochę szumi, piją. Jasio ze zdziwieniem patrzy na swe odbicie w lustrze. *Encore une tournée*, jest pijany.

Kiedy wszedł do pokoju, Lili już spała. Palila się mała lampka. Obok jej kręconych włosów leżała książka. Idąc przez pokój trącił nogą krzesło, kręciło mu się porządnie w głowie, przystanął. Nie, Jasiu, stuk nie obudzi jej, możesz krzyczeć, nie drgnie. Stał nad nią, spostrzegł, że oczy jej są otwarte. Patrzą weń skupione i oddane. Uniosła głowę, czuje od niego alkohol, podnosi wężące nozdrza jak zwierzę, patrzy nań z niepokojem i zdziwieniem. A jemu chce się nagle płakać, nie jest głodny, klęka przy dziewczynie, opiera głowę o jej kolana, rysujące się pod prześcieradłem, łyzy mu ciekną i trwa w tym przykłęku. Rodzice jego źle ze sobą żyli, bogaty dom, przyjęcia, goście, miał tylko siostrę, bardziej jeszcze rozpuszczoną niż jest Yvonne, ach jakież życie jest dziwne. Przez całą wojnę był sam, tamci zginęli. Lili jest zamyślona, zastanawia ją dlaczego on tak znieruchomiał, siada więc, ażeby go pogłaskać, widzi ślady łez na prześcieradle, noc jest gorąca i parna, ujmując jego twarz w ręce i podnosi pod światło. Łzy. Jest naga, hebanowa, ma śliczne ostre piersi i tuli się do niego. Jest to chwila, kiedy najbardziej chyba żałuje, że jest niema, chciałaby mu coś powiedzieć, a tak może tylko tulić się do niego i gładzić jego blond włosy, włosy jak len, miękkie i złote, tuli go do siebie. Jest tylko cisza i ruch jej rąk. Jasio zasypia. Lecz w nocy się budzi, z miejsca ogarnął go piekący przypływ. Ujmując ręką pierś Lili, wypukłość ta jest rozkoszą dla dotyku, niespodzianką, przeżyciem zaklętym w ten kształt. Lili budzi się, jest gorąca,

dyszy, nozdrza jej zda się pęknąć, usta są zaciśnięte, lecz on rozchyła je pocałunkiem. Nie żałuje już teraz niczego, wie już jak smakuje szczęście, ciało Lili płonie, ramiona jej to port bezpieczny, życie jest burzą, ta noc jest burzą, mózg chyba rozprysnie się mu jak źle kapslowana butelka, z naporu szczęścia i spokoju. Za chwilę tuli się do niej, wciąga w siebie zapach jej skóry, oczy ma zamknięte. Twe ramiona to port bezpieczny. Nie opuszczę ciebie. Nie opuszczę ciebie. W życiu trzeba mieć kogoś. Mam ciebie. Zasypia znów spleciony z nią, w nocy mu się śni Cebulski i jego monolog. Tak Włodziu, sennym, ale czujnym ruchem mogę sprawdzić, że ona jest koło mnie, mogę jak ślepiec uczyć się na pamięć dotykiem jej ciała, ręce me z jej piersi ładują się radością jak akumulatory, tak, jest ona tuż, kiedy zechcę mogę ją mieć, bo jest moja, słyszysz, moja! Przypomnienie Cebulskiego wzburza go, napawa gniewem. Nie, nie uderzę w spokojne, syte, długofalowe kimono. Lili jest zastraszona brutalnością, z jaką ją teraz objął, wali się w nią dziko, do utraty tchu, Lili jęczy, bełkocze jak niemowlę, lecz oczy jej błyszczą szczęściem, targnął ją dreszcz i płacze. Wciąga go w siebie jak woda, oplata go jak wir i ta chwila niech rozciągnie się na całą wieczność; niech jeszcze przekreśli całą przeszłość.

V

Po pierwszej wypłacie Jasia poszli do kina. To są jak gdyby jakieś inne pieniądze, kupujące większą radość. Po-tem była młoda noc szczęścia i zapomnienia, też jakaś inna. Leżeli obok siebie i było im dobrze. Jasio myśli: *dobrze*, czemu wytarte, banalne słowa nieraz najlepiej oddają jakiś stan? Co to znaczy: *dobrze*? Usiadł, oparł się o poduszki i pali papierosa. Ona głowę położyła mu na brzuchu i patrzyła w górę ku jego oczom. Skrzyżowane spojrzenia, cisza, noc, blade światło lampki. Dobrze. Zakrztusił się, jej głowa podskakuje na jego brzuchu, Lili uniosła się i czeka zalękniona. Gestem uspokoił ją, znowu się ułożyła. Jej oczy patrzyły weń pilnie, z natężeniem.

Nazajutrz była niedziela. Miał iść do Tyczyńskiego, ten otrzymał jakiś list od Hrabiego. Trzeba by zadzwonić do Yvonne, zostawiła *message*. Zapomniał o niej, a właściwie nie zapomniał, był mu tylko na rękę ten na przemian kołowrót pracy i ciszy w domu, odsuwał, jak mógł, konieczność spotkania z Yvonne. Wyszedł, by zobaczyć Tyczyńskiego, Lili o tym wiedziała. Wyszedł, by również pójść do Yvonne, o czym nie wiedziała. Tyczyński był zniechęcony, doskwierał mu gips i swędził idiotycznie, tak, od starego przyszły pieniądze. O ile chcą, mogą za miesiąc iść na inny statek Hrabiego. Znasz Toledo? Też stary grat. Tyczyński już mówi mu po imieniu.

Yvonne była wyniosła i ironiczna.

— Jeszcze nie stałeś się czekoladowy? Ludzie przez współżycie upodabniają się do siebie...

Patrzył na nią spokojnie.

— Dzwoniłaś do fabryki, ażeby mi to powiedzieć?

— Nie.

Czekał.

— Słucham — powiedział.

— Nie przeszło ci jeszcze? — szepnęła.

— Nie, a tobie?

— Wyjeżdżam — usłyszał za całą odpowiedź.

Podszedł do portu, włożył się po nabrzeżach. Zadzierał głowę, odczytywał nazwy okrętów, patrzył na chińską załogę jakiegoś frachtowca, snuli się po pokładzie senni, niedzielne popołudnie, bielizna na sznurach. Dźwigi w porcie wionęły beczynnością, magazyny portowe zaciągnięto żaluzjami, woda przy molo była mętna jak ropa.

Nazajutrz wlewał syrop na dno butelek, potem ustawiał je rzędem w imadła, igły manometrów drżały, sprężony gaz ładował się w wodę, strzelały kapsle. W południe Lili zrobiła mu omlet, przyrządziła sałatę tak jak on lubił. Po obiedzie drzemał chwilę na łóżku obok niej, cerowała jego skarpetki. Pod wieczór wysłano go z jakimś pilnym transportem na Aubagne, na jakąś zabawę potrzebowano nagle około czterdziestu skrzynek napojów. Louis był zadowolony, zacierał ręce: no, popijemy sobie, tam niedaleko moja szwagierka ma niezłą kafejkę.

Wrócili późnym wieczorem. Znowu wóz zostawili na ulicy, ażeby nie budzić mieszkańców. Podali sobie ręce i Louis poczłapał do siebie. Jasio wszedł do swego pokoju,

było ciemno. Zaniepokoił się. Poszukał kontaktu, błysnęło światło. Lili nie było. Spojrzał na zegarek. Dziesięć po jedenastej. Może poszła do kina?

Za chwilę u drzwi chrobotą czyjeś pukanie. Był to Marchioni.

— Co za tragedia, *Monsieur Jean, quelle tragédie... Mon Dieu, mon Dieu...*

Jeszcze zanim wziął z jego rąk list Lili, wyczytał całą prawdę z oczu Marchioniego.

— *Mon Dieu, mon Dieu*, jak mi żal pana. Co za nieszczęście.

Lili list był krótki.

„*Mon amour*. Przebac mi to co robię, ale tak będzie lepiej. Byłeś i jesteś dla mnie dobry. Nie z mojej winy jestem kaleką i Murzynką, ale byłoby moją winą, gdybym pozwoliła ci na dalsze łamanie sobie życia. Jesteśmy inni i to co zrobię będzie najlepsze. Dziękuję ci. Kiedyś, gdy ci żal przejdzie, zrozumiesz, że mam rację, decydując się na ten krok. Twoja ofiara byłaby za duża, poświęcenie nie wytrzymałoby konfrontacji z życiem. *Merci — Lili*”.

...Znaleziono ją w ustępie. Chłopcy odcięli ją, zaraz przyjechała policja i pogotowie, dzwoniłem po nich. Nie żyje, *oui, elle est morte*. Wszyscy biegali przejęci, *pauvre Lili...*

Czas stoi, czas płynie, czas się rozrzedza i zagęszcza, czas się zgęszcza jak czad. List w ręce drży, pisała jego ołówkiem, co się pamięta z najgorszych chwil? Drobiazgi. Czuł w oczach łzy, wokół szklanego oka piekły go łzy. Samotność. Nawet przypadki mają swe nieogarnione konsekwencje. Nawet przypadki mają swe niewysłędzone przyczyny. Samotność.

A potem? Gonitwa taksówką do szpitala. I najgłupsze, najbardziej niemożliwe do przewidzenia komplikacje z policją. Śledztwo, wypytywali go o wszystko, był podejrzany. Jak się nazywała? Czy to nazwisko ze szpitala było prawdziwe? Czemu ona nie miała żadnej *pièce d'identité*? Kim on jest? Ile ona miała lat? Czy ma tu prawo pobytu? Czy ma pieniądze na pogrzeb? Co będzie teraz robił? Kim była samobójczyni? Cokolwiek odpowie, nie uwierzą.

Biło go to wszystko jak ostry grad. Yvonne nie było, wyjechała, tak mu odpowiedziano w domu notariusza Lamica. Wyjechała z ojcem do Szwajcarii. Ciało Lili było teraz małe, twarz zmarszczona, portier z kostnicy chciał napiwku za odchylenie prześcieradła. Pokój u Marchioniego? Wrócić tam i żyć tam znowu po tym? Marchioni wykręcał się, wstydził się powiedzieć, spuszczał oczy, z ulgą przyjął zapowiedź Jasia, że się wyprowadzi. *Quelle tragédie, quel malheur*, jaki wstyd, ludzie ciągle o tym mówią. Nawet klienci skądś się o tym wywiedzieli, pytają Louisa. Coutet nie zachodził, ludzie jak zarazy boją się nieszczęśliwych, do niego iść Jasio nie miał siły. Pojechał do Tyczyńskiego. Po pogrzebie znów zaszedł do niego do szpitala. Był upały, jechał obok szofera w karawanie. Na cmentarzu stali dwaj policjanci, nie spuszczaali go z oka. Jeszcze raz pytali, czy wie jakiego była wyznania. *Jakiego wyznania?* Nie wiedział. Nie było więc żadnego duchownego. Grabarze mieli struksowe spodnie i zasmarowane gliną buty. Wojskowe buty. Łopaty i kilofy błyszcząły wyślizganymi styliskami. Zasypywali szybko, spoceni, byle jak najprędzej skończyć pod tym upałem. Przyklepali, pozbierali narzędzia, sznury i żerdź, którą mierzyli głębokość dołu, na ramię zarzucili chlebaki. Jeden miał w kieszeni marynarki butelkę lemo niady z nalepką fabryczną Marchioniego. Patrzyli jak stał, czekali na napiwek, wreszcie zawstydzeni odeszli. Karawaniarzom zapowiedział, ażeby nie czekali. Policjanci odeszli z urzędnikiem miejskim, wstąpili na szopinkę wina do kafejki za bramą. Stał, samotny jak posąg w zburzonym mieście. Pójdzie do Tyczyńskiego, poza cmentarzem nie zniósłby dłużej samotności. Za kilka dni siadą razem w porcie i czekać będą na pierwszy statek, który ich dokądś weźmie, w Marsylii zdarza się często, że ktoś z załogi się zawieruszy: bójka, policja, alkohol — kogoś brakuje. Będą czekać, może nadarzy się jakaś okazja. Jakaś okazja dokądś.

SPIS RZECZY

<i>Smutny uśmiech</i>	11
<i>Słońce wschodzi i zachodzi</i>	45



ACHEVE D'IMPRIMER
LE 15 JANVIER 1957
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD,
24, RUE STEPHENSON,
PARIS-18°.

